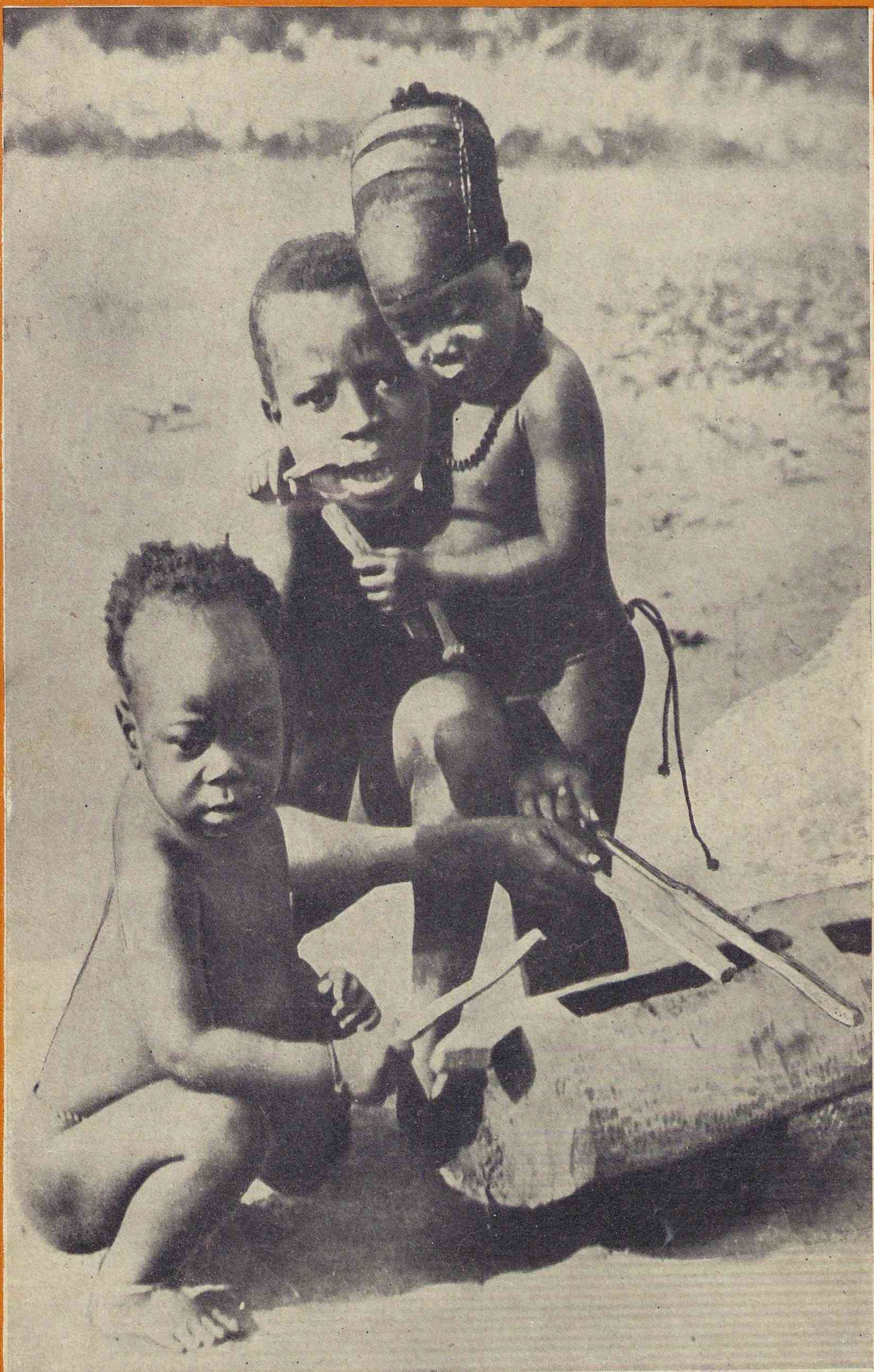


MŁODZI MELOMANI

Fot. „The New York Times"

26.IX
1931

ŚWIAT

N • 39

HUMOR ZAGRANICZNY



— Czyżbym był jedynym mężczyzną przez ciebie kochanym?

— O tak! Jedynym i najmilszym ze wszystkich

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ŚWIAT

ROK XXVI

NR. 39

WARSZAWA, DNIA 26-go WRZEŚNIA 1931 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

Agonja prasy polskiej

Wśród kryzysu powszechnego sytuacja prasy polskiej stała się wprost katastrofalną. Jeśli wziąć dzienniki, to nawet podczas wojny nie znalazły się one w tak ciężkiej opresji. Wtedy wyschło tylko ogłoszeniowe źródło dochodów; natomiast prenumerata, a zwłaszcza sprzedaż uliczna podniosła się wskutek wielkiego zainteresowania publiczności rozgrywającemi się wypadkami. Teraz zawodzą i ogłoszenia, i czytelnicy. Upadający handel i przemysł skąpi przedewszystkiem na reklamie; inteligencja miejska, stanowiąca główny kontyngent odbiorców pism, oszczędza na gazecie codziennej i na tygodniku. Świadczy o tem rozwój prasy dziesięciogroszowej w stosunku do dwudziestogroszowej. Według danych, zebranych dla Warszawy, która jest przecież zamożniejsza od miast prowincjonalnych i ma wyższe wymagania, zbyt dziesięciogroszówek w porównaniu z pismami normalnemi, kosztującemi 20 — 25 groszy, ma się jak 7 do 2. Na prowincji jest zapewne jeszcze gorzej!

W Łodzi wychodzą już dwie gazetki codzienne pięciogroszowe; podobno w najbliższym czasie takie piśmidło ma też powstać w Warszawie.

Mówimy: piśmidło, bo na inny tytuł świstek zadrukowanego papieru, redagowany nożycami i klajstrem, nie zasługuje. Już większość dziesięciogroszowych gazetek w niczem, poza nazwą, nie przypomina dziennika. Jedne z nich opierają się na zajmujących całe kolumny powieściach, transponowanych na grunt polski ze starych kryminalnych romansów zagranicznych; inne stanowią zbiór anegdot, mniej lub więcej sensacyjnych, nie związanych z miejscem ani czasem, co sprawia, że wrześniowy numer takiego dziennika może być równie dobrze czytany w grudniu, jak i w kwietniu następnego roku. Poza paroma pismami za 10 groszy, mającemi wybitnie dumpingowy charakter, inne obchodzą się zupełnie bez publicystów; wystarczy im reporter i t. zw. technik dziennikarski. Pięciogroszówki już nawet tych bądź co bądź zawodowców nie będą potrzebowały; bylejaki spekulant zasiądzie na stolcu redakcyjnym, dobierając sobie do pomocy ludzi, umiejących lepiej wycinać, niż pisać.

Ten upadek zawodu dziennikarskiego staje się zrozumiałym, jeśli się zważy, że do założenia salonu fryzjerskiego czy warsztatu stolarskiego potrzeba wykazać się znajomością fachu i mieć odpowiednie świadectwa, redaktorem zaś, wydawcą czy współpracownikiem pisma może być każdy ignorant, który zamelduje o zakładanem przez siebie piśmie odpowiedniej władzy lub poczuje w sobie natchnienie pisarskie.

Nasze ustawodawstwo prasowe, interesujące się tylko represyjną czynnością wobec wydawnictw, musi zająć się konstrukcyjną stroną tej dziedziny twórczości narodowej przez stworzenie norm prawnych wykonywania zawodu dziennikarskiego. Trudno bowiem pogodzić się z myślą, żeby prawodawca więcej dbał o czupryne swego obywatela, niż o jego umysł, nastrój psychiczny, poziom moralny, na które bez żadnego ograniczenia (poza cenzurą prawomyślności politycznej) może wpływać rozpowszech-

niane w tysiącach egzemplarzy pismo, szerzące brednie, deprawację, krwiożerczość i... błędy językowe. Tanie, rzekomo przeznaczone dla szerokich mas pisemka nietylko pozbawiają pracy wykwalifikowane siły dziennikarskie; szkodzą one również poważnym wydawnictwom, wytwarzając nieuczciwą konkurencję. Nie biorą bowiem pod uwagę wswej kalkulacji handlowej wydatków normalnych, obciążających solidne wydawnictwo: nie zapłacą drukarni, bo znajdzie się dziesięć innych, które w tych ciężkich czasach podejmą się druku na kredyt; zarwą współpracowników, bo mają pod ręką dostateczną ilość bezrobotnych, gotowych pracować za samą nadzieję zarobku; nie wykupią weksli, wystawionych za papier i inne dostawy. Dbają tylko o jedno, — aby zainkasować gotówkę. Gdy już wyczerpią wszystkie środki oszustwa i ziemia zaczyna parzyć im stopy, rzucają cały interes i zakładają nowe wydawnictwo pod innym tytułem czy w innej dzielnicy państwa, gdzie nie są jeszcze znani.

Tem się tłumaczy ta wielka ilość rodzących się corocznie i umierających czasopism. Pod tym względem nasze stosunki prasowe zupełnie przypominają ruch ludności w krajach o niskiej kulturze: wielka śmiertelność przy jeszcze większej rozrodczości. W roku 1918, gdyśmy wkraczali w okres niepodległości, posiadaliśmy 575 czasopism polskich na terenach, wchodzących w skład Rzeczypospolitej oraz na wychodźtwie. W roku 1930 mieliśmy ich już 1927 w granicach państwa, nie licząc emigracji. W ciągu 12 lat jest zatem niemal czterokrotny wzrost. Niektórzy chcieliby to przypisać szybkiemu rozwojowi potrzeb i możliwości kulturalnych w niezależnem państwie. Niestety, tylko w drobnej części da się ten wzrost objaśnić zmianą stosunków politycznych i cywilizacyjnych, gdyż szybkiemu mnożeniu się tytułów pism nie odpowiada powiększenie się ich nakładu.

O niezdrowej atmosferze naszego ruchu wydawniczego świadczy wielka śmiertelność pism. Oto kilka danych za trzy lata ostatnie:

W roku	1928	1929	1930
Upadło pism	408	736	512
Wznowiono pism	238	162	71
Założono pism	548	550	461
Wychodziło bez przerwy	1567	1617	1817
Ogółem było pism	2353	2329	2349*)

*) W tem 1972 polskich i 377 w innych językach.

W ciągu ostatnich zatem trzech lat narodziło się 1559 pism, zamarło 1656; ubytek wynosiłby prawie setkę, gdyby nie równoważyło go wznawianie chwilowo zawieszonych czasopism.

Jeszcze jaskrawiej wielka śmiertelność w prasie polskiej występuje na przestrzeni 12 lat naszej niepodległości. W tym okresie założono w Rzeczypospolitej 5086 pism; ponieważ w roku 1930 istniało tylko 2349 pism, w czem 264 pozostałych jeszcze z czasów zaborczych, więc równo 3000 upadło. Stosunek ten wskazuje, że śmiertelność sięga 60% ogółu zakładanych wydawnictw prasowych.

Świadczy to o braku solidnych podstaw przy inicjowaniu nowych wydawnictw. Zazwyczaj siły mierzy się na zamiary. Liczy się na wszystko: na subwencje, na niczem nieusprawiedliwione powodzenie, wreszcie na zarwanie wierzycieli i pracowników—tylko nie na trzeźwą kalkulację handlową i nie na własny kapitał zakładowy, niezbędny do wprowadzenia nowego wydawnictwa na rynek i do pokrywania deficytów w pierwszych latach, zanim zdobędzie poczytność.

Drugim czynnikiem, sprzyjającym mnogości pism, jest występująca w naszych stowarzyszeniach społecznych niezdrowa ambicja posiadania własnego organu. Nie traktuje się go, jako pomocniczego narzędzia działalności, nie rodzi się on z potrzeb organizacyjnych, lecz sam zazwyczaj stanowi cel, pochłaniający składki członkowskie i wymagający ciągłych subsydjów. Zamiast być dźwignią, staje się ciężarem dla stowarzyszenia. W gruncie rzeczy nikomu nie jest potrzebny, nikt go nie czyta, nie może spełnić swego zadania, gdyż narażony jest na konkurencję pokrewnych, równie ubogich i kulejących wydawnictw.

Weźmy parę przykładów. Czyż Polsce nie wystarczyłoby jedno pismo, poświęcone lotnictwu? Mamy ich aż pół tuzina: „Lot Polski", „Młody Lotnik", „Przegląd lotniczy", „Ster" — w Lublinie, „Lotnik" — w Poznaniu, „Wiadomości Lotnicze" — w Białymstoku. Propagandą morza zajmują się: „Flota Narodowa", „Morze", „Żegluga", „Żeglarz Polski", „Przegląd Morski", „Kurjer Morski". Pism automobilowych mamy 9, pism wojskowych ze dwadzieścia; każdy rodzaj broni posiada swój organ; jest więc „Przegląd Artyleryjski" i „Przegląd Kawaleryjski" i „Przegląd Piechoty", i „Przegląd Lotniczy", i „Przegląd wojsk technicznych", i „Przegląd Historyczno-Wojskowy", i „Przegląd Wojskowy" — tout-court i t. d. Ile wszystko to kosztuje? Bez względu na to, czy koszty wydawnicze spadają na skarb państwa, czy na kieszenie oficerskie — zawsze jest to marnotrawstwo, bo wystarczyłaby całkowicie „Bellona", jako ogólny organ teoretyczny wojskowości. Zresztą takie same rozbicie i nadmierne zróżniczkowanie spotykamy w innych specjalnościach: czy to będzie bartnictwo czy dentystyka, harcerstwo czy filatelistyka, film czy fotagrafja, radjo czy pedagogika, rybactwo czy wyterynarja. Każda z tych dziedzin posiada po kilka lub kilkanaście pism, co wcale nie świadczy o bogactwie naszej kultury, a raczej o niezgodności i marnotrawstwie Polaków. Gdyby bowiem połączyć wysiłki, możnaby istotnie stworzyć dla każdej specjalności zasobny, poważny i ciekawy organ; przy rozbiciu zaś powstaje brak materjału redakcyjnego, trzeba numery zapełniać przedrukami lub elaboratami grafomanów, wykraczać poza swą specjalność i organ rzekomo zawodowy przekształcać w pismo o charakterze ogólnym, wchodząc w drogę tygodnikom i miesięcznikom tego typu. Rezultatem takiej akcji wydawniczej jest niespełnianie należyte własnego zadania i przeszkadzanie w pracy innym.

Do tego chaosu w świecie wydawniczym polskim stara się wnieść nieco porządku Związek Wydawców. Ale jest on bezsilny wobec braku wszelkich norm prawnych. Utworzenie Izby Prasy, uchwalenie ustawy o zawodzie dziennikarskim, ograniczenie możności zakładania coraz nowych pism bez widocznej potrzeby, bez środków materjalnych i bez kwalifikacji zawodowych — staje się naglącą koniecznością. W przeciwnym razie grozi całej prasie polskiej — codziennej, perjodycznej i zawodowej — zupełne zanarchizowanie i bankructwo.

Tymczasem rząd wcale o to nie zdradza troski. Jeszcze popierającym go pismom w tej czy innej formie przychodzi z pomocą — w coraz mniejszych rozmiarach; ale o prasę niezależną zupełnie nie dba, prasa opozycyjna zaś ze szczególnemi musi walczyć trudnościami. Rząd zdaje się niezawsze pamiętać, że równie mu jest potrzebna, jak organy oficjalne czy półoficjalne. Bo gdy te służą do urabiania opinji publicznej, tamta stanowi niezbędne



PAMIĘTNE WYWIEZIENIE „DZIESIĘCIU Z PAWIAKA" W 1906 ROKU STAŁO SIĘ TEMATEM FILMU, KTÓRY W TYCH DNIACH WYŚWIETLONO W WARSZAWIE. NA PREMJERĘ PRZYBYLI (OD PRAWEJ DO LEWEJ): P. PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ, BOHATER UPROWADZENIA REWOLUCJONISTÓW, PUŁK. JUR-GORZECHOWSKI, MARSZAŁEK PIŁSUDSKI Z CÓRECZKAMI WANDĄ I JAGÓDKĄ, PREMJER PRYSTOR, REŻYSER FILMU, P. ORDYŃSKI I INNI. ZDJĘCIE NASZE ZROBIONO Z WESTIBULU KINEMATOGRAFU

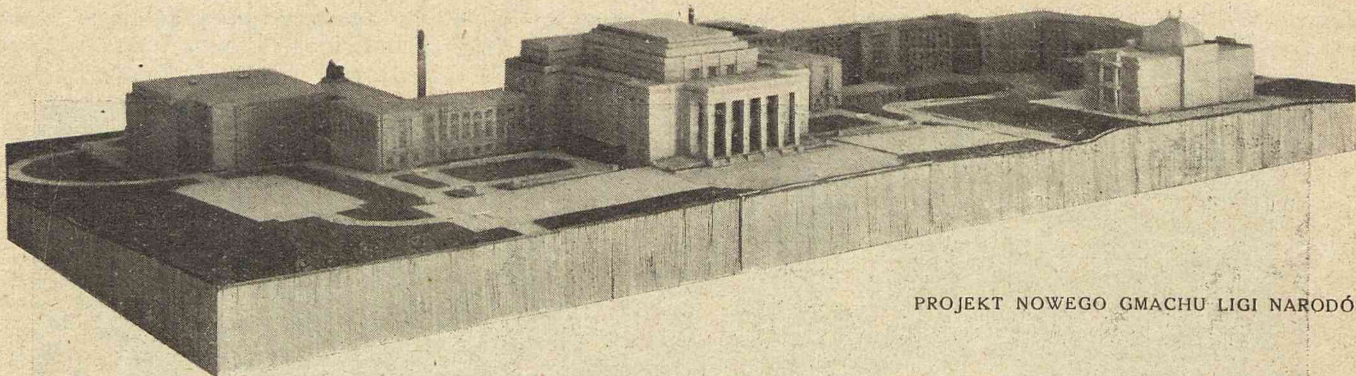
źródło orjentacyjne dla samych sfer rządzących. Bez nich rządzenie państwem odbywałoby się w ciemnościach i przedstawiałoby w kraju o ustroju demokratycznym trudności nie do pokonania. Dla powodzenia własnej akcji koniecznie trzeba znać myśli i zamiary przeciwnika. To też wcale nie leży w interesie kierowników nawy państwowej zniszczenie pism opozycyjnych, a cóż dopiero organów niezależnej opinji publicznej lub prasy sympatyzującej.

Tymczasem w okresie, gdy prasa cała przeżywa ostry kryzys, wywołany ogólnemi i specyficznemi przyczynami, mówi się o wprowadzeniu ze strony władz państwowych środków, które dotknęłyby boleśnie wszystkie wydawnictwa. Już ogłoszono o zastosowaniu podatku obrotowego do drukarń, stanowiących własność wydawnictwa, wbrew dotychczasowej siedmioletniej praktyce i to bez zmiany ustawy, na mocy zwykłego okólnika ministerjalnego; grozi od 30 września r. b. podwyżka taryfy przewozowej na papier rotacyjny; istnieje, podobno, zamiar znacznego podwyższenia opłaty za obsługę depeszową urzędowej agencji telegraficznej; władze skarbowe i przemysłowe odmawiają ulg celnych przy sprowadzaniu maszyn drukarskich, których nie wyrabia się w kraju; Ministerstwo Poczt rygorystycznie stosuje uciążliwe przepisy, znacznie podrażające koszty administracji i ekspedycji; prawie wszystkie urzędy państwowe w swej akcji ogłoszeniowej kierują się nietyle przesłankami handlowemi, co politycznemi, czyniąc z ogłoszeń pewną formę subwencji. Wszystko to odbija się fatalnie na stanie materjalnym wydawnictw, wpędzając ich właścicieli, kierowników i personel redakcyjny w stan depresji.

I jakże się potem dziwić, że ci przygnębieni i zniechęceni ludzie maczają swe pióra w żółci i zamiast nieść społeczeństwu otuchę w dniach ciężkiego przesilenia, skłonni są raczej patrzeć na rzeczywistość przez ciemne okulary.

Konająca prasa polska, nie widząc ręki pomocnej, ani twarzy przyjaznej tych, którzy winni czuwać u jej wezgłowia, wydaje coraz głośniejsze jęki, rozlegające się echem po całym kraju. Nie jest to atmosfera, w której mogłoby zakwitnąć zaufanie i nadzieja na lepszą przyszłość, tak potrzebne dla naszego państwa.

W. Giełżyński.



PROJEKT NOWEGO GMACHU LIGI NARODÓW

NA HORYZONCIE GENEWSKIM

Dziwnie sennie i ociężale wloką się tego roku obrady zgromadzenia Ligi Narodów. Mimo, jak zwykle, wielkiego napływu dziennikarzy,



WŁOSKI MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH GRANDI PRZYBYWA NA POSIEDZENIE LIGI NARODÓW

(zgłoszeń do Sekretarjatu było przeszło 500!) — trybuny dla publiczności i dla prasy świecą pustkami, a i wśród foteli delegatów niejedno wolne miejsce rzuca się w oczy. Nawet podczas przemówień wielkich „gwiazd" Ligowych: Brianda, Grandiego, Roberta Cecila—na sali panuje atmosfera obojętności i nudy.

Jednocześnie, jakby przez ironję losu, coraz lepiej funkcjonuje skomplikowany mechanizm ligowy, coraz składniej kręcą się koła tej maszyny. Czegóż to tego roku nie zrobiono, aby dziennikarzom ułatwić pracę! Na trybunie prasowej umieszczono nprz. słuchawki, przez które słuchać można albo danej mowy, albo też jednoczesnego jej tłumaczenia. Podczas więc mowy niemieckiego ministra spraw zagranicznych, p. Curtiusa, można było albo uraczyć się bezpośrednio jego krasomówstwem, albo wysłuchać jej przekładu angielskiego, względnie francuskiego. Co kto woli i jak kto lepiej rozumie. Jednocześnie wielka maszyna w kuluarach wystukuje na długich taśmach stenogram danej mowy, który najwyżej po godzinie znajdzie się już w szafkach poszczególnych gazet, umieszczonych w sali prasowej. Nigdy jeszcze tłumacze Ligi nie pracowali



P. E. FLANDIN, FRANCUSKI MINISTER SKARBU

z taką zawrotną szybkością i wprawą, nigdy jeszcze z taką pasją nie klekotały w Lidze maszyny do pisania i nie dzwoniły telefony, jak tego roku. Chyba dopiero w nowym gmachu Ligi, którego budowa odsuwa się zresztą z roku na rok, będą jeszcze lepsze i bardziej nowoczesne urządzenia techniczne...

A mimo to zgromadzenie tegoroczne zasypiało co chwila ze znużenia i obojętności.

Nie zdołał go rozczmuchać ani p. Titulescu, po raz drugi tego roku obrany przewodniczącym zgromadzenia, dziwny człowiek o dziwnej twarzy, przewodniczący wręcz doskonały, energiczny, sprężysty, odważny. Nie zdołał tego dokonać nawet p. Briand, którego syreniemu czarowi nie mogło się dotąd oprzeć żadne zgromadzenie...

Jaka jest tego przyczyna?

Powiedział ktoś w Genewie o zgromadzeniu tegorocznem, iż jest orkiestrą—bez dyrygenta i bez najważniejszych solistów. Ci, w których rękach spoczywają dzisiaj losy Europy, nie zjechali nad Leman. Niema ani premjera Lavala, ani kanclerza Brünninga, ani lorda Readinga. Na firmamencie Ligowym błyszczą niemal — same gwiazdy zachodzące, bo wszystko zdaje się wskazywać na to, że tygodnie urzędowania p. Curtiusa są już policzone, a i słońce p. Arystydesa Brianda kłoni się ku zachodowi...



P. TITULESCU, AMBASADOR RUMUŃSKI W LONDYNIE, PRZEWODNICZĄCY ZGROMADZENIA TEGOROCZN. WŚRÓD DZIENNIKARZY

AKCJA WOJSK JAPOŃSKICH W MANDŻURJI



Piechota japońska forsuje rzekę Fot. „The New York Times"

Ale na horyzoncie Ligi są też i gwiazdy wschodzące. Taką wschodzącą gwiazdą—i to pierwszorzędnej wielkości — jest p. E. Flandin, francuski minister skarbu, którego wytworna postać zwraca powszechną uwagę. Mimo, iż p. Flandin zabierał głos właściwie tylko na komisji paneuropejskiej, gdzie w niesłychanie dowcipny i zjadliwy sposób rozprawił się z sowieckim komisarzem do spraw zagranicznych, p. Litwinowem — mówi się tu o nim bardzo dużo i z wielkiem uznaniem.

To, iż min. Flandin odgrywa na zgromadzeniu tegorocznem tak wielką rolę — nie jest rzeczą przypadku. W dzisiejszych warunkach właśnie francuski minister skarbu jest w Europie persona gratissima. Całe zgromadzenie tegoroczne stoi przecież pod znakiem supremacji franka francuskiego, którego stróżem jest p. Flandin. Jeszcze pięć lat temu, kiedy Niemcy pod wodzą Stresemanna wkraczali tryumfalnie do Ligi, wydawało się, że od ich współpracy gospodarczej z Francją zależy nietylko ich własna pomyślność, ale także i pomyślność— Francji. Później oczy Europy, a wraz z nią i całego świata zwróciły się ku narodom anglo-saskim, ku wyspom brytyjskim i Stanom Zjednoczonym. Dziś na wielkim zegarze dziejowym bije godzina Francji. Miljony i miljardy lekceważonych niegdyś franków francuskich, uciułane skrzętnemi rękami obywateli francuskich, panują nad światem. W Genewie widać to na każdym kroku. Nic też dziwnego, że uśmiech i łaskawy gest p. Flandina znaczy stokroć więcej, niż pogróżki tych wszystkich, których przed paru laty uderzenie pięścią w stół robiło piorunujące wrażenie. O ten uśmiech zabiega też dzisiaj dosłownie całe zgromadzenie genewskie.

Anna Chorowiczowa.

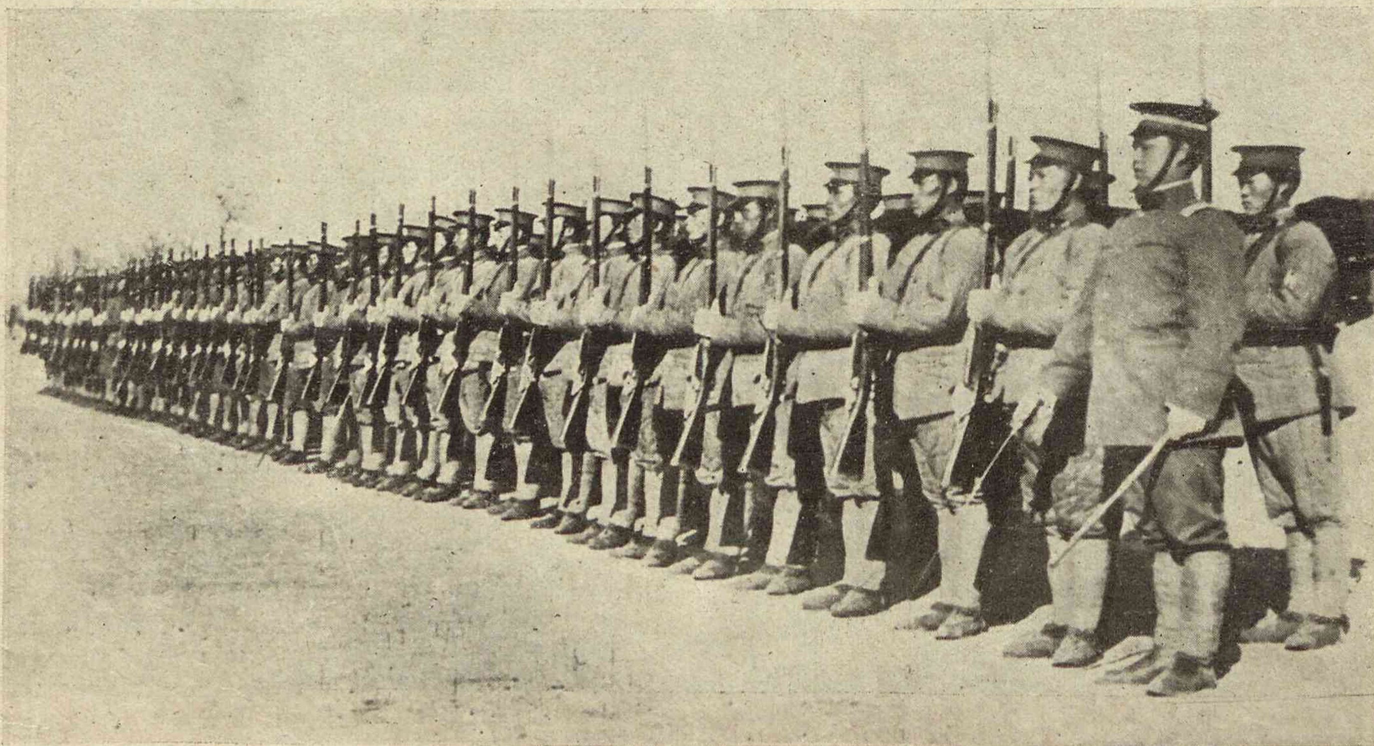
Genewa, we wrześniu 1931 r.

Delegatki różnych państw na zgromadzenie tegoroczne Ligi Narodów



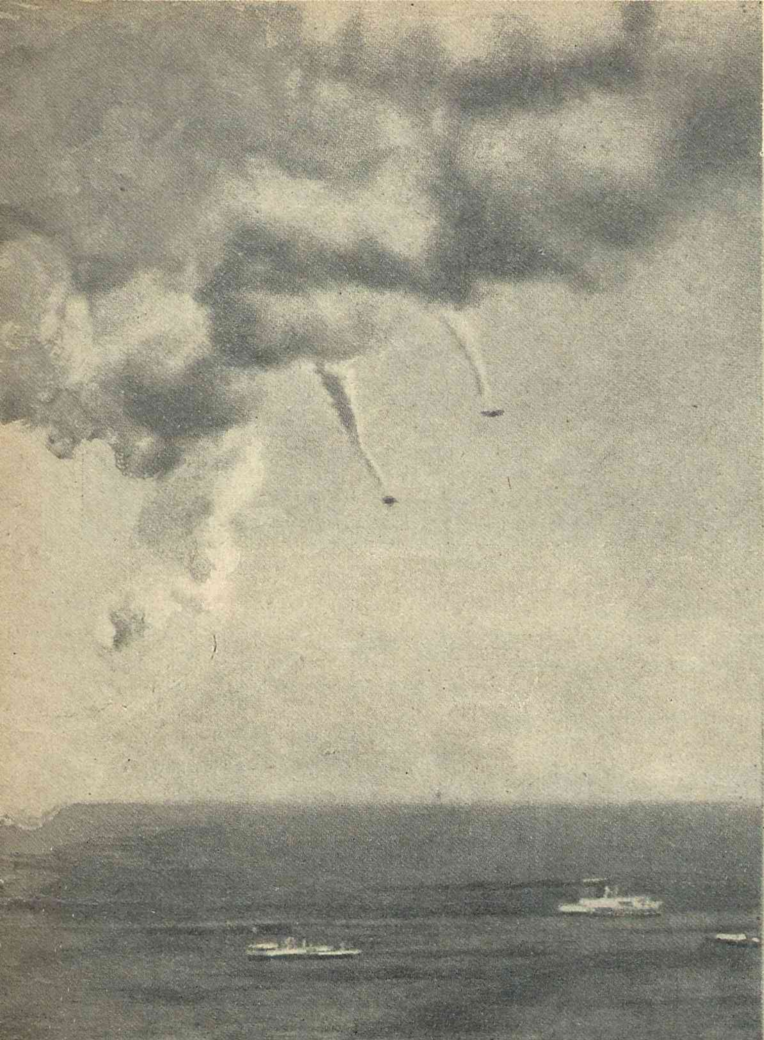
W pierwszym rzędzie stoją panie: Cantacuzène (Rumunja), Forchhammer (Danja), Campoamor (Hiszpanja), Ciurlionis (Litwa) i Hesselgren (Szwecja). W drugim rzędzie panie: von Matsch (Austrja), Pünder (Niemcy) Szelągowska (Polska), Delegatka Indji, Flamenkowa (Czechosłowacja). W trzecim rzędzie panie: hr. Apponyj (Węgry), Lyttleton (Anglja), Plumpter (Kanada).

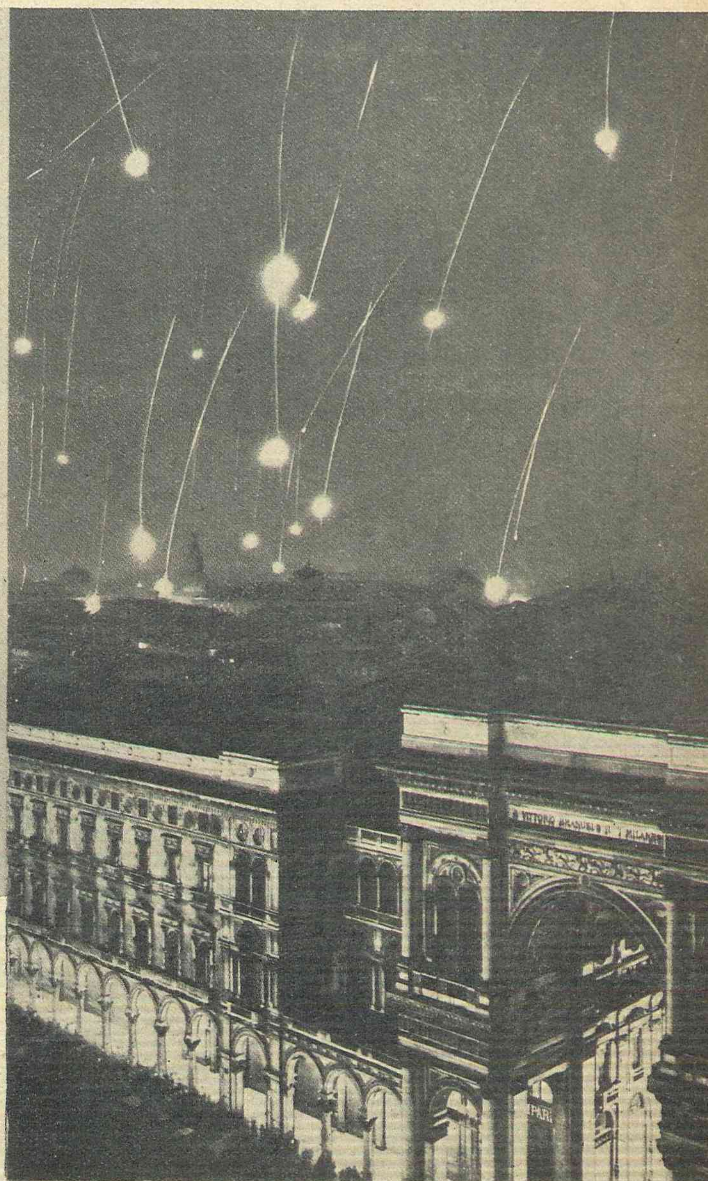
ZATARG ZBROJNY W MANDŻURJI



ARMJA CHIŃSKA ZOSTAŁA ZREORGANIZOWANA NA WZÓR EUROPEJSKI

Rewja włoskich sił powietrznych





W tegorocznych lotniczych manewrach włoskich wzięło udział 5 brygad, 12 eskadr, 28 grup, 69 eskadryl, 37 sekcji, liczących ogółem 894 aparaty różnego typu i przeznaczenia, (w tem 124 hydroplany), które ustawioneszeregami, zajęły olbrzymie pole (patrz niżej). Najwspanialszym widowiskiem było bombardowanie włoskiego portu wojennego Spezzia (z góry) i atak nocny na Medjolan (na prawo), robiący wrażenie jakichś olbrzymich fajerwerków. Na zakończeniu król odbył przegląd aeroplanów w okolicach Ferrary, poczem przedefilowały one w szyku bojowym w kierunku Bolonji. Na ludności całych północnych Włoch, obserwującej manewry, zrobiły one imponujące wrażenie



PŁOWCE

1331-27-IX-1931

Jedno z najsławniejszych w historji pól bitewnych—Płowce—leży w pobliżu kujawskiego miasteczka Radziejowa, „kędy — jak pisze Długosz — rozległa się płaszczyzna obszerna i sposobna do rozwinięcia bojowych szyków, miejsce otwarte, żadną do koła nie zasłonione zaroślą i w dalekie strony podające widok". Prowadzi tędy odwieczna droga (obecnie — szosa) z Włocławka przez Brześć Kujawski na Radziejów.

Jeno przed laty 600 przecięła się w tem miejscu droga inna: krwawy szlak drugiej w onym roku 1331 rajzy krzyżaków na Polskę. Pierwszą — w lipcu — powiedli od Bydgoszczy na Wielkopolskę, niszcząc ją i łupieżąc aż pod Poznań. Wyjściem wyprawy drugiej był Płock (ziemię dobrzyńską wydarli Łokietkowi przed dwoma laty), a punktem końcowym — Kalisz. Stąd przez Konin i Radziejów wracali, łupiąc, na Toruń. W Radziejowie podzieliły się siły krzyżackie: część armji ruszyła na oblężenie Brześcia; część pozostała w tyle. To pozwoliło ciągnącemu za „brodaczami" Łokietkowi zacząć działania zaczepne, z czego wynikła bitwa, a właściwie dwie (tegoż dnia 27 września) bitwy pod Płowcami.

*

Nie wszystko, co się tyczy stosunków Polski do Krzyżaków z ciekawego okresu ostatnich lat panowania Łokietka, jest już całkowicie zbadane i wyjaśnione. Niemniej jednak ostatnie badania naukowe ustaliły wiele rzeczy do niedawna jeszcze wątpliwych. Zapominać nie można, że pod koniec swego panowania zmuszony był Łokietek prowadzić grę bardzo skomplikowaną. Uparte i niezłomiste dążenia dzielnego wskrzesiciela jedności państwowej Polski zmuszały go często do rozstrzygania problemów, w których



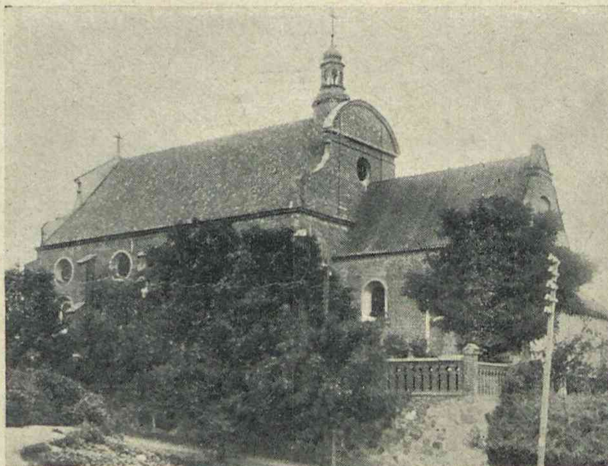
NAPIS NA POMNIKU, STOJĄCYM NA CMENTARZU W PŁOWCACH, GDZIE POCHOWANO POLEGŁYCH W BOJU

mieszały się z sobą — łącząc lub przeciwstawiając—wpływy: litewskie, ruskie, węgierskie, Habsburgów, Kurji papieskiej, Jana Luksemburczyka, margrabiów brandenburskich, książąt śląskich i mazowieckich — nie licząc wewnętrznych spraw połączonych niedawno a z trudem reszty dzielnic polskich.

*

W świetle ostatnich tych badań inną, niż dotychczas, widzi nam się niejedna sprawa także i z onej epopei płowieckiej. Choćby np. z tym Wincentym, panem na Szamotulech. Nie był on w stosunku do Łokietka bez winy — to jednak pewne. Aleć rozmiary jego przewin wobec króla nie były ani tak wielkie, ani w skutki brzemienne, jak to przekazał nam choćby Długosz, gdy gromi starostę wielkopolskiego, jako „mordercę własnych braci, nieprzyjaciela swego domu i rodziny, ciemięzcę ojczyzny, który pamięć obrzydłą po sobie zostawił i tak siebie, jak i potomstwo swoje wieczną skalał hańbą". Przez długie wieki oskarżenie takie ciążyło nad Wincentym. I dopiero skrzętne dociekania historyków lat ostatnich pomniejszyły znacznie przestępstwo dumnego wojewody.

Również przesadnie podawano dawniej liczbę padłych w płowickiej sieczy. Samych poległych Krzyżaków liczono na dziesiątki tysięcy. Najbardziej zbliżonym do prawdy jest ten przekaz jednego z kronikarzy, wedle którego biskup kujawski Maciej kazał pogrzebać liczbę poległych 4,187. Aleć i taka liczba, na ówczesne stosunki pojęta, świadczy dosadnie, iż zetknęły się z sobą pod Płowcami armje wcale znaczne i że wrzała tu walka wielce zawzięta...



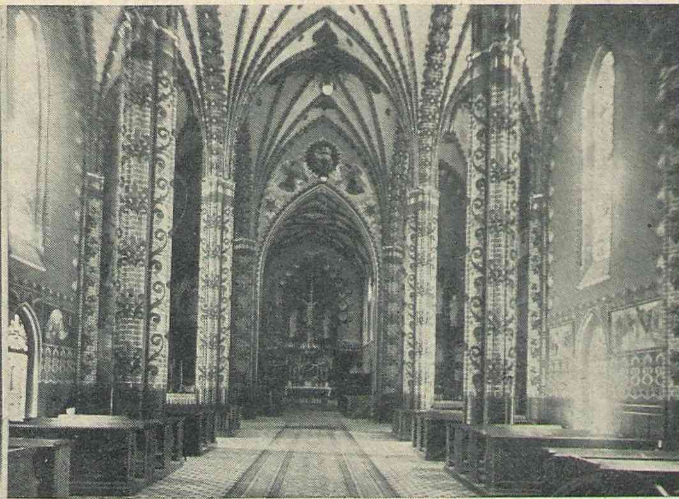
WIDOK KOŚCIOŁA POKLASZTORNEGO W RADZIEJOWIE, WZNIESIONEGO JAKO VOTUM PRZEZ ŁOKIETKA ZA ZWYCIĘSTWO POD PŁOWCAMI

*

Co pozostało na polach płowieckich po krwawych zapasach polskiego rycer-



WNĘTRZE KOŚCIOŁA POKLASZTORNEGO W RADZIEJOWIE. ZWRACA UWAGĘ PIĘKNE KRYSZTAŁOWE SKLEPIENIE



WNĘTRZE FARY W BRZEŚCIU KUJAWSKIM, KTÓREJ BUDOWA SIĘGA 1240 R. CUDOWNA POLICHROMJA Z LAT OSTATNICH

stwa z najazdem? Wspomina Długosz, iż biskup kujawski Maciej „kazał poległych przykryć uczciwie i zbudował na tem miejscu kaplicę".

Niemasz ci już dzisiaj śladu po onej biskupowej kapliczce. Ale może to dzięki niej właśnie znamy dzisiaj dokładnie miejsce walki z przed lat sześciuset. Może dzięki niej zachował się do dziś cmentarzyk, otoczony murem.

Mur ten pochodzić ma z roku 1817; a był podobno fundowany kosztem ówczesnego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Z tegoż zapewne okresu pochodzi skromny pamiątkowy pomniczek. Na nim znajduje się napis, uwidoczniony na naszej fotografji.

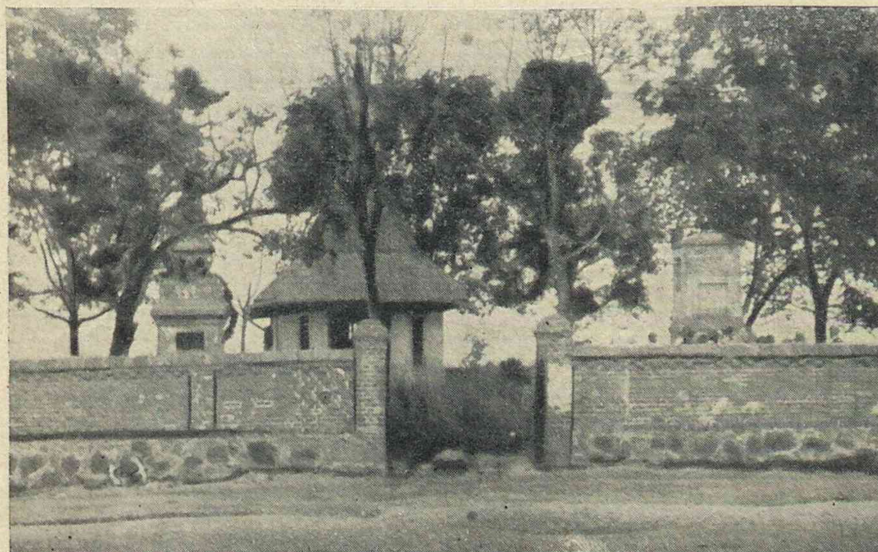
*

Uroczystości obchodu 600-lecia zwycięstwa Łokietkowego pod Płowcami — jak to już rozniosła prasa codzienna — obejmą całą Polskę. Specjalnie jednak uroczyście zapowiada się program obchodu na terenie Kujaw.

Więc przedewszystkiem w pobliżu cmentarzyka w Płowcach stanie dziesięciometrowy kopiec, sypany obecnie wysiłkiem zbiorowym społeczeństwa wszystkich powiatów kujawskich. Dalej — odnowiony został gruntownie kościół poklasztorny w Radziejowie, który to kościół wedle tradycji miał pobudować Łokietek jako votum za zwycięstwo. Dalej — w tumie włocławskim, którego budowę rozpoczął współczesny wypadkom płowieckim kujawski biskup Maciej Golanczewski, zawiśnie wielki dzwon królewski „Władysław". Miejscowy oddział Towarzystwa Krajoznawczego organizuje na czas obchodu wystawę historyczno-wojskową.



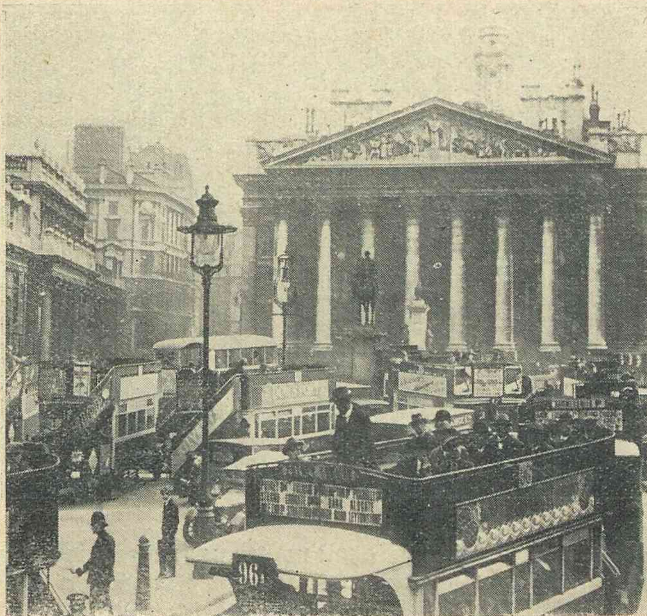
SYPANIE KOPCA W PŁOWCACH



CMENTARZ W PŁOWCACH

A w dniach 26 i 27 września odbędą się uroczystości w Radziejowie, Płowcach i Włocławku, na szeroką miarę zakrojone.

Zdzisław Arentowicz.



GIEŁDA LONDYŃSKA ZOSTAŁA NAGLE ZAMKNIĘTA



BANK ANGIELSKI POWSTRZYMAŁ WYPŁATY W ZŁOCIE

TO I OWO O BANKU ANGIELSKIM

„Never mind, there are millions behind". — „Nie martw się, za mną są miljony". Tak oświadczał na starym obrazku humorystycznym obszarpaniec, oparty o fasadę najsolidniejszej instytucji bankowej świata, Banku Angielskiego. W te miljcny wierzyli wszyscy — żebrak i potentat finansowy. A teraz wiara ta została zachwianą. Czyżby rozgniewał się bożek Merkury za to, że podczas ostatniej przebudowy Banku zmieniono postać kobiecą, posąg, od którego Bank bierze swą nazwę „starszej damy ze Threadneedle Street"? Dama była symbolem instytucji, która dawała złoto za banknoty. Cofnęła rękę ze złotem, straciła na prestige'u. Gest jej nietylko wstrząsnął posadami Banku Angielskiego i londyńskiego City, ale przyczynił się do paniki na giełdach świata. Zamilkł bezustanny a charakterystyczny brzęk złota, padającego z szufli kasjerów w wielkiej sali bankowej na wagi przy wypłacie czeków.

Mimo to, są tacy, co wierzą, że gest, zachwianie się, podkopanie zaufania do Banku, to objawy przejściowe. Nie takie już stary Bank przechodził koleje. Atakowano go podczas rozruchów politycznych, banknoty jego sprzedawano poniżej wartości, grożono mu powołaniem przed sąd Parlamentu (impeachment), kredyt jego podkopywano zdradą.

Pierwszy run na Bank w r. 1707 wywołała groźba inwazji pretendenta do tronu, syna Jakóba Stuart'a. Wtedy Bank uratował się podstępem, zatarasowując kasy własnemi ajentami, wymieniającymi najdrobniejsze banknoty. Pogłoska o najeździe francuskim była przyczyną run'u w roku 1797 i wtedy Tajna Rada Królewska (Privy Council) zabroniła wypłaty gotówki za banknoty powyżej 20 szylingów. Wymienność biletów bankowych była zawieszona od lutego 1797 r. do maja 1821 r. Podczas paniki w r. 1825 oświadczono przed parlamentem, że zapasy Banku spadły poniżej 1.300.000 funtów, a potem okazało się, że podziemia nie zawierały wówczas ani 100.000, ani nawet 50.000 funtów.

Przyczyny paniki bywały czasami wprost fantastyczne. W r. 1832, czterech gentelmanów, chcąc przeszkodzić utworzeniu gabinetu przez niepopularnego wówczas księcia Wellington, zebrało między sobą 80 funtów i użyli je na afisze o treści: „To stop the duke, go for gold" — „By przeszkodzić księciu, idź po złoto". Afisze te, rozlepione na murach londyńskich, przyczyniły się do wycofania złota za pół miljona funtów w ciągu kilku godzin.

Podczas zaburzeń w r. 1880 bronili Banku ochotnicy miejscy, straż bankowa i wojsko. Wtedy to przetopiono stare ołowiane kałamarze kantoru bankowego na kule. Podczas innych rozruchów dach został ufortyfikowany przez saperów, a budynek zabezpieczono na wypadek oblężenia. Dziś posiada swoją własną wojskową załogę.

Sam budynek Banku, przebudowany ostatniemi laty, jest niezwykle ciekawy. Rozciąga się na przestrzeni przeszło półtora hektara. Od frontu nie ma żadnych okien. W podziemiach jego kryją się ogromne skarby i ciekawe maszyny do ważenia złota i srebra w sztabach. Monety złote waży specjalna maszyna, z szybkością 33 sztuk na minutę i odrazu odrzuca pieniądz niepełnej wagi. Bank w swoim obrębie drukuje wszystkie banknoty angielskie i indyjskie oraz czeki pocztowe. Banknot, który raz powrócił do banku, choćby tego samego dnia był dopiero puszczony w obieg, staje się bezwartościowy. Kasjer oddziera jeden jego róg, zapisuje numer biletu do księgi i oddaie bilet specjalnej składnicy, gdzie pozostaje przez lat dziesięć. Co miesiąc w ogromnym piecu pali się zapasy banknotów z przed lat dziesięciu. Tak długo stare bilety trzymane są na wypadek, gdyby trzeba je sprawdzać w jakimś procesie lub innej sprawie. Między osobliwościami Banku są stare monety i banknoty wyszłe z obiegu. W ramki oprawny widnieje banknot, opiewający na miljon funtów szterlingów; służył on swego czasu w tranzakcji między rządem a bankiem, i stał się tematem kapitalnej humoreski Marka Twaina. Przechowywane są też banknoty z podpisami osób sławnych, z których każda dostaje przy zwiedzaniu Banku banknot do podpisania.

Do osobliwości Banku zaliczyć też można statut i warunki personalne. Nie wiem, czy i nadal statut wyklucza od posad dyrektorskich żydów i kwakrów, ale wymaga, by wyższy personel mieszkał i nocował w Banku. Do piosenki popularnej i anegdoty przeszła postać Abrahama Newlanda, głównego kasjera od 1778 do 1807 r. Przez 25 lat ani jednej nocy nie spędził poza obrębem budynku bankowego a każdy banknot z tego czasu był zaopatrzony w jego podpis. Bank zatrudnia około 1000 urzędników. Wśród nowomianowanych jedna - piąta rekrutuje się z synów starszych pracowników instytucji.

Początkowy kapitał zakładowy Banku w r. 1694 wynosił 1,200,000 funtów i zebrany był drogą publicznej subskrypcji, pomimo, że plan założenia Banku angielskiego napotkał silny opór. Obecny kapitał wynosi 14,533,000 funtów.

Stanisława Goryńska.



TYDZIEŃ ŚWIATA

(V.). Podczas dyskusji w Lidze Narodów nad środkami zapobiegania wojnom, jakby na poparcie tezy polskiej, domagającej się wprowadzenia bardziej realnych gwarancji, zabezpieczających przed starciem zbrojnem, doszło w Mandżurji do formalnej bitwy między oddziałami japońskiemi, strzegącemi kolei południowo-mandżurskiej, a wojskami chińskiemi, zostającemi pod rozkazami marszałka Czang-Tsue-Lianga, gubernatora wojennego Mandżurji.

Od czasu przedstawienia Chinom przez Japonję głośnych „dwudziestu jeden żądań" z 18 stycznia 1915 r., zaczyna się planowa penetracja wyspiarskiego mocarstwa do Mandżurji, a nawet do Mongolji. Mało zaludnione, a bogato wyposażone przez naturę krainy, które Chińczycy nie potrafili, mimo swego przeludnienia, skolonizować w ciągu wieków, przedstawiają — po zagarnięciu Korei — ponętny teren dla ekspansji japońskiej. Posuwa się ona zrazu wzdłuż linji kolejowej, oddanej pod ochronę Japonji.

Zaniepokoiło to chińczyków, którzy podjęli kontrakcję, otwarcie przeciwstawiając się dążeniom japońskim. Zerwali więc układ handlowy z Japonją, zapewniający jej szereg przywilejów; rozpoczęli budowę kolei żelaznych w Mandżurji, aby ubiec japończyków; poczęli tam popierać osadnictwo chińskie; założyli w Hou-Lou-Tao nad zatoką Tcheli port, mający konkurować z japońskim Dairen (Dalnij); zastosowali szereg szykan wobec emigrantów koreańskich i japońskich, wreszcie wszczęli kampanję przeciwko handlowej, kulturalnej i wojskowej penetracji japończyków. Ofiarą tej agitacji padł w czerwcu r. b. kapitan japońskiego sztabu generalnego Nakamura, zamordowany w Mongolji przez nacjonalistów chińskich.

Rząd tokijski skorzystał z okazji, aby uzyskać nowe koncesje tytułem zadośćuczynienia; rozpoczęła się wymiana not dyplomatycznych, która jednak do niczego nie doprowadziła. Tymczasem w Korei wybuchły pogromy kupców chińskich, jeszcze bardziej zaostrzając sytuację. Gabinet Shidehara, reprezentujący umiarkowaną partję Minseito, widzi się zagrożonym przez gwałtowniejsze stronnictwo Seiyukai i przeznacza pierwszorzędnych ludzi: p. Ugaki na stanowisko wielkorządcy Korei, hr. Uchida na prezydenturę kolei południowo-wschodniej; jednocześnie wzmocniony zostaje garnizon na kontynencie pod dowództwem gen. Hanjo.

Wszystko to przygotowało wypadki obecne. Telegramy z Chin donoszą, że wojska japońskie nagle zaatakowały Mukden i zajęły go wobec uchylenia się od walki oddziałów chińskich. Depesze z Tokio głoszą, że incydent został sprowokowany przez chińczyków, którzy mieli zburzyć w pewnym punkcie tor kolejowy, strzeżony przez japończyków.

Jak we wszystkich wypadkach Dalekiego Wschodu, tak i tutaj nigdy zapewne nie wykryje się prawdy. W każdym bądź razie rząd japoński uspakaja, że do wojny nie dojdzie i zatarg zostanie zlokalizowany.

Można mu wierzyć. Japonji wcale nie zależy na rozdmuchaniu nad Oceanem Spokojnym wielkiego pożaru, w który mogłyby się wmieszać Rosja, Stany Zjednoczone i Anglja. Wystarczy jej narazie zajęcie Mukdenu, z którego jej nikt już nie wyprze.

A mając w rękach stolicę Mandżurji, łatwiej będzie mogła utwierdzić swe wpływy w całej prowincji.

. . . .

Anglja znalazła się pod jakąś złą planetą. Niema dnia, aby nie nadeszły stamtąd zatrważające wieści. Ledwo uporano się z przesileniem gabinetowem i opracowano projekt zrównoważenia budżetu, już opozycja partji pracy, protesty związków zawodowych i groźba strajku dziesięciu tysięcy nauczycieli, którym obcięto pensje, może zachwiać całym planem oszczędnościowym.

Ale najbardziej poderwał go akt niesubordynacji marynarzy. Dowiedziawszy się o obniżce żołdu, wystąpili oni z pecycją w drodze służbowej, a gdy ta nie odniosła skutku, odmówili posłuszeństwa oficerom na okrętach wojennych. Ruch jednak miał czysto ekonomiczny charakter; manifestacyjnie odjęto mu cechy akcji politycznej. Gdy na 7 pancernikach i kilkunastu krążownikach, zebranych w porcie Invergordon dla odbycia manewrów na morzu Północnem, podniesiono flagę państwową, rozległy się wiwaty na cześć króla. Ale zaraz po tym geście lojalności nastąpiła odmowa wykonania zwykłej pracy marynarskiej. Manewry odwołano, a rząd zajął się zrewidowaniem obniżek, jakie dotknęły marynarzy, gdyż istotnie okazały się one nieusprawiedliwione.

Incydent ten nie pociągnie, prawdopodobnie, przykrych następstw dla załogi okrętowej, gdyż rząd nie zechce zaogniać sytuacji. Ale ma już konsekwencja na zewnątrz. Zaufanie bankierów wszechświatowych do Anglji zostało ponownie poderwane, funt spadł odrazu o 16%, ucieczka kapitałów przybrała takie rozmiary, że rząd zmuszony był zamknąć giełdę londyńską, przerwać dowolną wymianę banknotów na złoto i zmienić ustawę z 1925 r. o parytecie złota. Wytwarza to nowe perturbacje na rynku walutowym, mogące mieć groźne następstwa.

Zły rok przeżywa Anglja.

. . . .

(Wig.). Wolne miasto Gdańsk zasłuży sobie niedługo na miano swawolnego. Należy ono, jak wiadomo, do obszaru celnego Polski i na podstawie umowy z 1922 r. organy celne na terenie gdańskim podlegają kontroli naszej administracji celnej. Tymczasem wykonywanie tej kontroli stale uniemożliwiano i po cichutku dopuszczano się krzyczących nadużyć na szkodę skarbu polskiego. Oto nprz., wyzyskując przepisy o t. zw. obrocie uszlachetniającym, według których półfabrykat, wywieziony zagranicę dla dokończenia, może powrócić bez opłaty cła, Gdańsk wywoził złom żelazny, a przywoził bez opłaty celnej maszyny precyzyjne, wywoził buraki, sprowadzając wzamian takąż ilość cukru nieoclonego i t. p. W ten sposób Polska poniosła dotąd około 45 miljonów zł. straty.

Rząd Rzeczypospolitej o poczynaniach swawolnego miasta doniósł Wysokiemu Komisarzowi z ramienia Ligi Narodów, domagając się przywrócenia stanu prawnego i pokrycia strat.

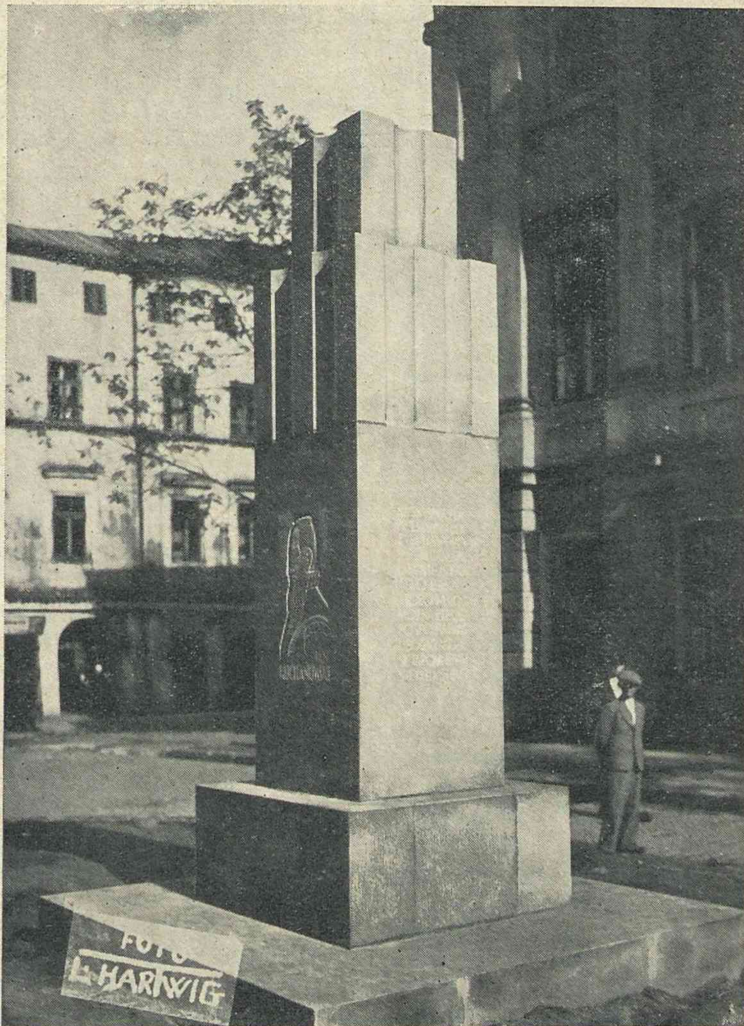
. . . .

(Old.) Losy urzędu państwowego, mającego opiekować się sztuką polską, są symboliczne. Gdyśmy odzyskali niepodległość, rozumiejąc doniosłość twórczości artystycznej narodu dla zachowania jego odrębności i roli w świecie, utworzyliśmy specjalne ministerstwo kultury i sztuki. Ministrem był wówczas p. Medard Downarowicz. Wkrótce jednak tekę tę połączono z teką oświaty, utrzymując na wzór francuski odrębny podsekretarjat sztuk pięknych, który w randze wice-ministra objął zdolny architekt ś. p. Heurich. Gdy później agendami temi kierował znany artysta malarz Jan Skotnicki, miał już tylko stanowisko dyrektora departamentu. Wreszcie za czasów znakomitego wskrzesiciela grafiki polskiej Skoczylasa, mającego europejskie nazwisko, departament zdegradowano na wydział.

Gdyby się w Polsce dzisiejszej objawił artysta genjalny na miarę Wyspiańskiego i chciał sprawować z ramienia państwa pieczę nad sztuką, zapewne znalazłby się zaledwie na czele referatu. Zawsze bowiem przestrzegano, aby znaczenie tego urzędu w hierarchji państwowej było odwrotnie proporcjonalne do kompetencji kierownika.

Ten stopniowy i konsekwentny spadek opieki nad sztuką na coraz to niższy szczebel ma w sobie coś fatalistycznego. Nie powstrzyma go platoniczny protest kilkudziesięciu artystów i literatów. Potrzeba jakiegoś ożywczego prądu w całem społeczeństwie, któryby zahamował bezwładne staczanie się naszej kultury duchowej i wydźwignął ją na właściwe szczyty.

Pomnik Jana Kochanowskiego



W Lublinie, przed sławnym Trybunałem na starym Rynku odsłonięto dn. 26 b. m. pomnik Jana Kochanowskiego, który zmarł w tem mieście, przybywszy dochodzić swej krzywdy przed sądem królewskim

Od czwartku do czwartku

Najważniejsze wydarzenia tygodnia

Wskutek poważnego zachwiania się kursu funta sterl. Bank Angielski w nocy z niedzieli na poniedziałek zawiesił wymianę banknotów na złoto. Giełdę londyńską zamknięto, stopę dyskontową podniesiono z 4½ do 6½, w ciągu jednego dnia uchwalono nowelę do ustawy o parytecie złota, która natychmiast weszła w życie.

Zamknięcie giełdy londyńskiej pociągnęło za sobą nietylko zamknięcie innych giełd w Anglji i w dominjach, ale też giełd w Amsterdamie, Antwerpji, Brukselli, Wiedniu, Kopenhadze, Sztokholmie, Helsingforsie, Atenach, Gdańsku i t. d. Na giełdach niemieckich i szwajcarskich obroty były ograniczone.

Prezydent Hoover za pośrednictwem ambasadora amerykańskiego w Paryżu zaprosił do Waszyngtonu premjera francuskiego Lavala dla odbycia konferencji w sprawach finansowo-politycznych. Przyjęcie zaproszenia zależy od francuskiej Rady ministrów, jest jednak pewne.

Wojska japońskie, konsystujące w Mandżurji, zaatakowały i zajęły Mukden; oddziały chińskie zrazu nie stawiały oporu. Następnie jednak doszło do krwawych walk w Mukdenie, Czang-Czungu i innych miejscowościach. Rząd nankiński złożył w Tokio notę, domagającą się wycofania wojsk z Mandżurji. Rząd japoński tłumaczy swe stanowisko niedotrzymaniem traktatów i potrzebą samoobrony. Ma być utworzona komisja porozumiewawcza.

Na żądanie delegata chińskiego rada Ligi Narodów rozpatrywała sprawę zatargu zbrojnego w Mandżurji, wzywając obie strony do zaniechania akcji zbrojnej.

Minister Zaleski wniósł do Sekretarjatu Ligi Narodów memorandum o rozbrojeniu moralnem, w którem domaga się wprowadzenia do kodeksów kar za podżeganie do wojny, zakazu stowarzyszeń prowojennych, głoszących nienawiść między narodami, uniemożliwiania prasie szerzenia alarmów wojennych, podjęcia walki z instynktami wojennemi przy pomocy szkół, teatru, kina radjo i t. p.

Sprawa skarg ukraińskich, odesłana przez Komisję Trzech do Rady Ligi Narodów została odłożona do sesji styczniowej. Referentem został delegat japoński Joszizawa.

Rada Ligi Narodów wysłuchała raportu gdańskiego Wysokiego Komisarza, p. Graviny o szkodliwości nacjonalistycznych manifestacji niemieckich w wolnem mieście. Raport wraz z wnioskami przyjęto, przytem wynikła dyskusja między p. Strassburgerem a ministrem Curtiusem z powodu zapowiedzianego przyjazdu do Gdańska Hugenberga.

Z powodu wygaśnięcia polsko-gdańskiej umowy w sprawie port-attache, polskie statki wojenne nie są wpuszczane do portu gdańskiego i zamknięty dla nich został dostęp do Wisły, oraz do stoczni gdańskiej. Nienaturalną sytuacją zajmie się Trybunał Haski.

Stały Trybunał sprawiedliwości międzynarodowej w Hadze rozpatruje spór polsko-litewski o uruchomienie kolei Landwarowo — Koszedary. Polskę reprezentuje prof. Mrozowski, Litwę — dyrektor Sidikauskas.

W Scranton odbył się doroczny sejm Związku Narodowego Polskiego w Stanach Zjednoczonych przy udziale 100 delegatów i gości. Gen. Dreszer przywiózł pismo Prezydenta Rzeczypospolitej. Transmitowano przez radjo mowy ministra pracy Hubickiego z Warszawy i ministra Zaleskiego z Genewy.



Charlie Chaplin spędzał tegoroczne wakacje na Rivierze francuskiej, gdzie spotkał „tajemniczą Mary“, która ma odtwarzać główną rolę w najbliższym jego filmie

ze świata



Tancerki z Kochinchiny odbywają tournée po Europie we własnym aeroplanie



Angielska pilotka Amy Johnson dokonała przelotu Londyn-Tokio i z powrotem. Podczas wydanego na jej cześć przyjęcia japoński min. awjacji, mimo poważnego wieku, puścił się z lotniczką w tany



Sowiecki komisarz spraw zagranicznych, p. Litwinow podróżuje po Europie

W Częstochowie, podczas uroczystości legjonowych z udziałem ministrów Jędrzejewicza, Hubickiego i Kozłowskiego, oraz prezesa B. B. pułk. Sławka, odsłonięto pomnik prezydenta Narutowicza, wykonany przez rzeźbiarza Polcińskiego i inż. Dańczaka.

Pod prezbiterjum bazyliki wileńskiej znaleziono w krypcie groby króla Aleksandra Jagielończyka, królowych: Elżbiety i Barbary Radziwiłłówny, żon Zygmunta Augusta.

Rada Ministrów przyjęła projek budowy linji kolejowej Kraków — Miechów, łączącej się z linją Dąbrowa — Dęblin koło przystanku Tunel pod Miechowem. Długość nowej linji wynosić ma 52 kl. Po przeprowadzeniu kolei Warszawa — Radom będzie to najbliższa trasa między starą a nową stolicą Polski.

Do Warszawskiego Sądu Okręgowego wpłynęła sprawa 11 b. więźniów brzeskich. należących do P. P. S. i Stronnictwa Ludowego, o usiłowanie zmiany ustroju państwa przemocą, głównie o kongres Centrolewu w Krakowie. Sprawę pp. Korfantego i Popiela wyłączono, a p. Al. Dębskiego — umorzono. Proces odbędzie się 26 października r. b. pod przewodnictwem sędziego Hermanowskiego.

Chory świat

Napozór patrząc na świat przez okienka codziennych wydarzeń, nie widzi się nic szczególnego. A jednak żyjemy w epoce przełomowej: świat, w szalonym pędzie, wjechał na niebezpieczny zakręt.

Ostatnie kilka lat przyniosły bogaty plon doświadczeń i posunięć niezmiernie doniosłych: trzeba z nich wyciągnąć konsekwencje. Póki jeszcze czas...

*

A więc, np. kryzys w St. Zjednoczonych otworzył ludziom oczy na to, jak niepewne i kruche są podstawy dobrobytu w krajach przemysłowych. Cóż z tego, że robotnik amerykański chlubi się wysokim zarobkiem, komfortowem mieszkaniem z łazienką, ba! nawet posiadaniem własnego samochodu, skoro cały dobrobyt może rozwiać się w ciągu jednego tygodnia? Wystarczy zmiana konjunktur ekonomicznych, aby produkcja została gwałtownie zahamowana i aby część robotników znalazła się na bruku.

Dobrze jeszcze, gdy kryzys jest przejściowy, gdy konjunktura poprawia się i znów wraca popyt na ręce robocze; tak bywało nieraz. Gorzej, kiedy trzeba pożegnać się na zawsze z dawnemi rynkami zbytu i zmniejszyć produkcję na czas nieograniczony: tak jest obecnie.

I oto na ulice miast amerykańskich wkracza gość złowrogi, niewidziany: nędza. Rosną tłumy bezrobotnych: trzeba ich żywić, odziewać, dać im dach nad głową. Skąd wziąć na to pieniędzy? Dobroczynność prywatna, bardzo w Ameryce rozpowszechniona, wystarczy na jakiś czas. A potem? Potem, ciężar utrzymania ogromnych mas bezrobotnych spadnie na państwo. Państwo przerzuci go na ogół obywateli w formie nowych podatków, ciężarów, świadczeń. A ponieważ są to ciężary nieprodukcyjne, więc po pewnym czasie „zjedzą" bogactwo narodowe i powiększą ogólną depresję. Zjawisko to można obserwować w Anglji od szeregu lat. Zachodzi ono również w Niemczech. Niebawem zarysuje się i w St. Zjednoczonych, w owym „raju kapitalistycznym", stawianym dotychczas jako wzór szybkiego rozwoju i powszechnego dobrobytu.

Jaki stąd wniosek? Że jesteśmy w obliczu załamania się produkcji i że organizm ekonomiczny świata wszedł w stadjum krytyczne.

*

Organizm ekonomiczny świata? Czy można wogóle świat traktować, jako całość? Regulować go? Naprawić lub zmienić jego funkcje?

W tem właśnie trudność, że świat nie jest ekonomicznie zorganizowany. W dziedzinie produkcji, obiegu i spożycia panuje chaos, najeżony sprzecznościami i kryjący w sobie źródło niebezpiecznych zaburzeń.

W grubych zarysach istnieją na świecie trzy kategorje państw, trzy fazy ekonomiczne:

1) państwa burżuazyjne czyli kapitalistyczne;

2) państwa mieszane, kapitalistyczno-socjalistyczne;

3) państwa socjalistyczne.

Pierwsza kategorja wyróżnia się wysoką produkcją i wysoką konsumcją, druga — małą produkcją i niewielkiem spożyciem; trzecia — rosnącą produkcją i minimalną konsumcją (Sowiety).

W interesie państw burżuazyjnych leży podniesienie dobrobytu i siły nabywczej państw drugiej i trzeciej kategorji; w interesie ustrojów mieszanych — napływ obcych kapitałów w miarę tępienia i zaniku własnych; w interesie trzecich — pogłębienie kryzysu światowego pod hasłem rewolucji społecznej.

W tych warunkach organizacja produkcji i spożycia na całym globie wydać się może utopją. A jednak ludzkości nic innego nie pozostaje, jak właśnie tę utopję wprowadzić w życie. W przeciwnym razie grozi inna, gorsza ostateczność: apokalipsa krwawego przewrotu.

Albo biała rewolucja z góry, albo czerwona rewolucja z dołu.

*

— Rewolucja może być tylko czerwona — odpowie uczeń Marksa i Lenina, wychowany na talmudzie walki klas — rewolucja to „rozpętanie żywiołu, tkwiącego w masach", to „próba sił nowej warstwy społecznej proletarjatu", to „akt przemocy", „straszny sąd wyzyskiwanych nad wyzyskiwaczami", wyrok „zemsty socjalnej", topór „karzącej nienawiści" i inne podobne formuły.

Tak jest niewątpliwie z punktu widzenia szablonowej retoryki rewolucyjnej, wpajanej światu od stu lat i wykutej na pamięć przez tępych fanatyków.

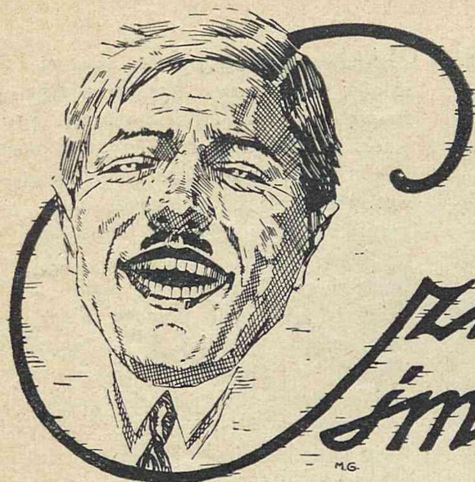
Inaczej przedstawia się rewolucja, gdy na nią spojrzeć oczami socjologa i ekonomisty. Jest ona poprostu przejściem od jednej fazy produkcji i posiadania do drugiej, przyczem czynnik uczuciowy zemsty czy nienawiści gra jedynie rolę impulsu, powodującego wybuch.

Z punktu widzenia celowości, t. j. korzyści ogólnej, rewolucja czerwona jest właśnie największą utopją, bo nigdy nie poprowadza do tych wyników, do jakich zmierzała. A jeśli nawet osiąga z czasem cel pozytywny, to kosztem zbytecznych ofiar i spustoszeń, po wyczerpaniu wszystkich możliwych błędów, szaleństw i złudzeń.

Zawodowi rewolucjoniści są najszkodliwszymi pod słońcem partaczami.

Biada narodom, które takim fuszerom powierzają naprawę swego dobrobytu! Nie pozostanie im nic innego, jak czekać, aż jedni wymrą, drudzy nauczą się czegokolwiek, a reszta powygryza się wzajemnie. Wtedy dopiero można zabrać się do uprzątania gruzów.

L. Brun



— Podobno jeszcze handel się trzyma—powiedział któregoś dnia pewien optymista w pięć minut po pęknięciu wrzodzianki na zębie. Natychmiast sfotografowano go en face i umieszczono na pierwszej stronie pewnego pisma, któremu zależało na tem, aby nikt nie wierzył, że w Polsce panuje kryzys. Pod fotografją był podpis: „Niema kryzysu. Opinja jednego najwybitniejszego z naszych ekonomistów, który pragnie zachować incognito".

Wielu ludzi czytało ten podpis i nie dziwiło się, ponieważ zadziwić dzisiaj kogokolwiek można tylko grubą pożyczką, co jest zgoła niemożliwe. Ale za to wielu ludzi śmiało się z radości, a między nimi niejaki pan Badylkiewicz, właściciel sklepu ze sztuczną biżuterją, który tak ten artykulik wziął do serca, że zatelefonował do redakcji.

— Przepraszam pana redaktora. Ale czytałem w pańskim poczytnym organie, że handel się trzyma, ponieważ zaś jestem sam właścicielem sklepu, więc...

— Co?

— Chciałem się dowiedzieć, jaka branża?

— Lombardowa.

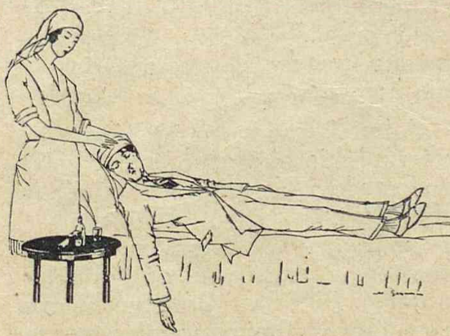
Badylkiewicz położył telefon i zaczął się śmiać nanowo. Nie było w tym śmiechu nic dziwnego, ponieważ magazyn Badylkiewicza składał się z obszernego sklepu, założonego szafami, w których od dołu do samej góry pełno było szklanych półeczek, a na nich mnóstwo drobiazgów, tak zwanych „petit rien", albo „bibelot" albo „article de Paris"... zresztą każdy mógł jak chciał nazywać te głupstwa, służące nie zawsze wiadomo do czego. Nad drzwiami widniał aonowy napis, który wieczorem żarzył się zielono i pozwalał każdemu odczytać intrygujące słowo: „Preciose".

Taka była firma tego interesu, w którym sprzedawało się cygarniczki bursztynowe, fajeczki piankowe, paciorki ze szkła, naszyjniki z kamyków, broszki z kaukaskiej i weneckiej mozajki, bransoletki z kolorowej masy, puderniczki, flakoniki, srebrne pajączki, słonie z kości słoniowej, emaljowane żuczki i wiele jeszcze innych drobiazgów, mascotków i „souvenir'ów". Był to zatem magazyn istotnego, najbardziej zdecydowanego luksusu. Pora też najwyższa, aby tego rodzaju przedmioty nazywano inaczej wobec tego, że luksusem jest już książka do czytania, ilustrowane pismo, teatr, kino, kotlet de volail, kurs taksówką, babka śmietankowa, a niedługo prawdopodobnie dojdą do tego jeszcze całe podeszwy i czysta koszula.

Nic więc dziwnego, że Badylkiewicz, kiedy się przekonał, że zasięg oszczędności dosięga każdego, schudł i zmizerniał i tak się uduchowił, jakgdyby od dwudziestu lat studjował Yogizm, nad wodami Gangesu. Za każdym jednak razem, kiedy spojrzał na swoje gablotki, zaczynał się śmiać w dość dziwny sposób, bo z załamanemi rękami, wykrzykując przytem ze zdumienia:

— Kto to kupi? Co ja z tem zrobię?

Czasami wyjmował z gablotki myszki z kości słoniowej, hebanowe laleczki, srebne pajączki, kładł je na rękę i przyglądał się, jak brylantom. Wszystko było ładne, delikatne, wdzięczne, ale straszliwie niepotrzebne. Kosztowało niemało! Kto mógł dzisiaj zapłacić za myszkę z kości słoniowej 15 złotych? Kto mógł kupić za 10 złotych srebrnego pajączka? Kto mógł być tak szalony, aby nabyć bransoletkę z prawdziwego czeskiego szkła. Myśląc o tem, Badylkiewicz miał chęć, nic nie mówiąc nikomu, pożyczyć łopatę, wykopać sobie własnoręcznie grób i umrzeć ze słodką myślą o mocarstwowem stanowisku Polski, rozkwitającej w koncercie europejskiej polityki przy boku przyjaciółki Francji i jej pięćdziesięciu siedmiu miljardów schowanych w podziemiach Banc de France. Ale nie chciał dawać złego przykładu i jeszcze bardziej pogłębiać kryzysu gospodarczego, gdyż był przekonany, że jego czyn, jako że był głupi i rozpaczliwy, znajdzie natychmiast licznych naśladowców, i każdy kupiec, każdy artysta, literat, dyrektor teatru, urzędnik państwowy albo aktor pójdzie na Bródno i będzie sobie kopał grób, rujnując w ten sposób ostatni porządny zawód, którego kryzys jeszcze nie dosięgnął: — grabarzy.



— Niechaj przynajmniej to jedno rzemiosło zarobi na oszczędności — pomyślał z rozrzewnieniem. — Poczciwe, dobre chłopy. Po co im chleb odbierać? Lepiej poczekać. Sami przyjdą. Życie nie jest ani tak złe, ani tak długie. Można wytrzymać.

Czekał więc, czytając rano i wieczorem liczne artykuły o pożyczkach, które zaciągały Państwa dotknięte kryzysem. Niemcy chcą 2 miljardów marek, Anglja otrzymała już 5 miljardów franków i 200 miljonów dolarów. Sowiety też mają wielką ochotę na franki i też pewno dostaną z kilka miljardów. Badylkiewicz, czytając te nowinki, zanosił się od śmiechu.

— Co za dziady! Co za bankruty!—wołał. — To nie tak, jak my!... My nie potrzebujemy ich łaski! Byleby tylko zdrowie dopisało i zęby do zgrzytania, a wszystko będzie dobrze. Są nawet już wyraźne przebłyski poprawy, w postaci pewnego dzieła, które się ukazało świeżo na półkach księgarskich p. t. „Dogodne warunki życia przyszłego pokolenia".

Pocieszony tem i pokrzepiony na duchu, siedział w swym sklepie cierpliwie, czekając, aż kto wejdzie. Ale nikt nie wchodził. Upłynął jeden tydzień, dwa, trzy — nic! Jakgdyby ludzie oślepli i nie widzieli aonowego szyldu. Nareszcie po trzech tygodniach przyszedł pierwszy klijent. Był to inkasent z Elektrowni, który zabrał mu 30 złotych drobnemi, jakie przyniósł z domu na wypadek, gdyby musiał komuś wydać reszty. Badylkiewicz zaśmiał się cichutko, ale zapłacił. Nawet własnoręcznie otworzył drzwi, aby sobie przypomnieć, jak to było dawniej z klijentami. Jednakże na drugi dzień ktoś naprawdę ujął za mosiężną rączkę drzwi, aby je pchnąć przed siebie i Badylkiewiczowi tak zabiło serce, jak niegdyś, gdy przychodziła do niego z wizytami pewna młoda piękność. Zobaczył twarz prawie przyklejoną do szyby — i zadrżał. Był prawie pewny, że to klijent wchodzi, ale niestety cofnął się. Badylkiewicz pobiegł do drzwi i zobaczył, jak przechodził na drugą stronę ulicy. — Był to żebrak, który zobaczywszy ascetyczny wyraz twarzy Badylkiewicza, przestraszył się i uciekł. Wolał nie ryzykować. Dopiero po kilku dniach wszedł poważnym krokiem przodownik policji z taką miną, jakgdyby rzeczywiście chciał coś kupić na prezent imieninowy.

— Czego pan sobie życzy?—zapytał kupiec, pobladłszy ze wzruszenia.

— Przyszedłem spisać protokuł.

— Zaco? — wyjąknął. — Protokuł? Jezus, Marja!

— Zato, że pan handluje poza godzinami przepisowemi.

Badylkiewicz usiadł na krzesełku, które stało za ladą i zaśmiał się dziko, długo i przeciągle. Śmiał się dziesięć minut bez przerwy. Śmiałby się jeszcze dłużej, gdyby go nagle coś nie ścisnęło za gardło. Wstał i rzekł:

— Panie komisarzu, ja przychodzę do sklepu, jeżeli pan chce wiedzieć, tylko dlatego, aby cudzoziemcy nie rozgadali po świecie, że w Warszawie sklepy są pozamykane z braku klijenteli, ale nie utargowałem w tym miesiącu nawet 10 złotych.

— Jednak muszę spisać protokuł, gdyż wczoraj przechodząc koło godziny 9-ej widziałem pański sklep oświetlony.

— Bo zaspałem — zawołał tryumfująco.

— W sklepie?

— Co miałem robić? Od klijentów się już odzwyczaiłem, a do spania jestem przyzwyczajony. Zacząłem myśleć o tem i o owem i tak się przyjemnie zdrzemnąłem, że spałem do dziewiątej. Żałuję tylko, że zapomniałem zgasić elektryczność, która przez tych kilka godzin pochłonęła mi całotygodniowy targ. Proszę zobaczyć moje książki.

— Być może — odparł policjant — ale ja muszę pana zapisać. Zapłaci pan 50 złotych kary.

— Niech pan pisze, bardzo proszę, z przyjemnością — wołał Badylkiewicz, nie mogąc się powstrzymać od śmiechu. Ale zapłacą tę karę moje wnuki, które będą handlowały „w dogodnych warunkach życia". Ja nie jestem przyszłe pokolenie i nie mam czem płacić.

Policjant wyszedł, ukłoniwszy się grzecznie, a Badylkiewicz, wyśmiawszy się do syta, znów usiadł i zaczął liczyć muchy spacerujące po gablotce. Było ich pięć, ale jedna bardzo mała i Badylkiewicz zastanawiał się nad tem, czy ją uznać za dorosłą, czy tylko za podlotka. Jeżeli tak, to było właściwie cztery i pół pełnoletnich much. Na tem zajęciu zeszedł mu czas do wieczora. Ale koło godziny siódmej weszła młoda panienka, która miała na sobie białe buciki do kolan, apaszkę zarzuconą na ramiona i okropne dwa sińce koło nasady zadartego nosa, a nad niemi wspaniałe łuki czarnych brwi. Znał ją z widzenia, gdyż od kilku miesięcy chodziła tam i z powrotem przed drzwiami jego sklepu.

Badylkiewicz odetchnął. Nadzieja zatamowała mu oddech. Nareszcie klijentka.

— Czem mogę sz. pani służyć? — zapytał głosem pełnym kurtuazji. — Mam śliczne rzeczy. Nowy transport. Niech sz. pani raczy zobaczyć. Same paryskie i wiedeńskie wyroby. Biżuterja prawdziwa wenecka. Prześliczne „petit rien" na prezenty i do noszenia. Na tualetki, biureczka, kominki.

— Proszę pana — zaczęła. — Ja przyszłam względem tego kryzysu.

— Że niby co? — wymamrotał Badylkiewicz zbity z tropu.

— Że niby co panu przyjdzie z tego wszystkiego — zawołała z ironją, pokazując palcem na szafę. — Kto to panu teraz kupi? Niema forsy w narodzie. Wszystkie ludzie na pętaków się przerobili.

Badylkiewiczowi pociemniało w oczach.

— Więc niby co, jak niema pieniędzy w narodzie?

— To jabym mogła wziąć taką broszeczkie albo co inne. Gotówki pan przecież niema, a ładna jezdem. Nie?

— Proszę wyjść! — ryknął. — Jeszcze znajdę inny sposób pozbycia się mego towaru. Jeszcze są tacy, co się nim interesują.

Dziewczyna wyszła, a Badylkiewicz znieruchomiał. Możnaby zrobić z niego poduszeczkę do szpilek, aniby drgnął. Dopiero po chwili oprzytomniawszy zaczął się śmiać, ubawiony tą niezwykłą propozycją, i śmiał się za każdym razem, kiedy sobie o tem przypomniał. Ale podczas tych wybuchów wesołości ogarniały go nagłe paroksyzmy milczenia. Wtedy toczył wzrokiem po szafach, zapuszczał tkliwe spojrzenia pod szkła gablotek... Srebrne pajączki błyszczały. Kaukaskie i weneckie mozaiki śmiały się do niego kolorowością swych kamyków. Laleczki hebanowe wyciągały ręce, szklane bransoletki leżały na zielonym pluszu, jak zwinięte wężyki na wiosennych paprociach. Tylko nikt nie przyszedł więcej. Nawet żebrak nie zajrzał przez szybę, nawet policjant nie przyszedł spisać protokułu. Dziewczyna nie dochodziła już do jego sklepu, skróciwszy swój kurs. Badylkiewicz przestał się martwić. Wiedział, że nic mu nie pomoże załamywanie rąk i naiwne wołanie: „Kto to kupi? „Kto się tem zainteresuje?" Coraz częściej pod pozorem okurzania drobiazgów wyjmował je z gablotek i ustawiał na czyściutkiem szkle: słonie osobno w rzędzie szóstkami, pająki jedne za drugiemi aż do samego końca lady. Z boku murzynki, mascotki, w różowych i żółtych sukienkach. Fajki i cygarniczki oddzielnie. Broszki kolekcjami. Bransoletki jak obwarzanki stosami. Przyglądał się im, okurzał i śmiał się. Z czego?... Z tej naiwnej zabawy. Zdawało mu się, że jest znów małem dzieckiem i to go bawiło. Aż nareszcie po miesiącu przyszedł raniutko do sklepu i zastał gablotki próżne, szafy porozbijane a na ziemi pełno porozrzucanych w pośpiechu „bibelot", „petit rien", „articles de Paris, de Nice, de Vienne. Tylne drzwi były wyłamane. Z jego magazynu zostały tylko szczątki szaf i potłuczone szkło. Już nie było o czem myśleć!

— Nareszcie ktoś się naprawdę zainteresował moim magazynem! — zawołał Badylkiewicz, wybuchając śmiechem. I śmiał się bez przerwy, aż do chwili, kiedy mu położono lód na głowę.

Stefan Kiedrzyński.

Sprawa warszawskich teatrów miejskich

Zarząd m. Warszawy postanowił uruchomić zamknięte od 1 września teatry Narodowy, Letni i Nowy (zamknięty już na wiosnę) na nowych podstawach. Teatry te mają być oddane w administrację poręczającą red. Stefanowi Krzywoszewskiemu, przyczem p. Krzywoszewski otrzymuje ze strony miasta ściśle określone świadczenia. W ten sposób miasto ogranicza dokładnie swoje wydatki na teatry, administrator przejmuje odpowiedzialność za wykonanie swego budżetu. Oczywiście, miasto rezerwuje sobie zwierzchnią kontrolę.

Administrator poręczający powierzył kierownictwo teatrów Narodowego i Nowego p. Ludwikowi Solskiemu, teatru Letniego — p. Emilowi Chaberskiemu. Sekretarjat generalny nowej dyrekcji objął p. Bolesław Gorczyński. Kierownictwo administracyjne — dotychczasowy intendent, p. Antoni Strzelecki. Nazwiska te świadczą najlepiej, iż ster b. teatrów miejskich znajduje się w rękach fachowych i doświadczonych.

Tymczasem toczą się układy z artystami. Budżet nowej dyrekcji musiał z natury rzeczy ulec bardzo znacznym okrojeniem. Konjunktury ogólno-gospodarcze nie pozwalają spodziewać się stałych większych dochodów. Przeciwnie, kryzys finansowy zaostrza się coraz silniej. Pobory artystów muszą tedy być zredukowane. Nie wszyscy artyści chcieli zgodzić się na nowe warunki. Względy oszczędnościowe zmuszają prócz tego nową dyrekcję do zmniejszenia zespołu. Koniecznym jest wreszcie dopływ sił młodych, świeżych. Przeobrażenia te, aczkolwiek niezbędne i nieuniknione, z natury rzeczy muszą być w pewnych wypadkach bardzo bolesne. Gdy je-

dnak chodzi o ratowanie i o pomyślność całości, niepodobna cofnąć się przed ofiarami.

Jeśli nowej dyrekcji uda się tchnąć w b. teatry miejskie bujne życie, jeśli powiedzie się—zbliżyć te teatry do publiczności, ściągnąć do nich z powrotem publiczność, — tę publiczność, u której do niedawna cieszyły się taką życzliwością i sympatją, wiele ran będzie można zagoić. Trzeba wskrzesić zainteresowanie dla teatru.

Teatry Narodowy i Letni muszą być według umowy uruchomione w pierwszej połowie października. Teatr Nowy nieco później. Teatr Narodowy zapowiada sztukę oryginalną młodego autora,p. Leczyckiego p. t. „Sztuba", która była już grana z powodzeniem w Krakowie i Wilnie. Teatr Letni grać będzie „Logikę p. Baltazara", komedję Marchand'a. Obie sztuki były zakwalifikowane przez poprzednią dyrekcję, z „Logiki p. Baltazara" odbywały się już nawet próby.

Z nowych sił, pozyskanych na stałe dla teatrów Narodowego i Letniego, wymienić należy przedewszystkiem p. Marję Malicką i p. Kazimierza Junoszę-Stępowskiego. Zdaje się, że prawie wszyscy dawni wybitniejsi artyści pozostaną na stanowiskach. Zaangażowano również szereg młodych artystek i artystów, którzy dali się już poznać i ocenić w teatrach prowincjonalnych.

Jest nadzieja, że zespół b. teatrów miejskich odzyska dawną świetność.

Teatr przy ulicy Chłodnej

Według moich obliczeń, publiczność warszawskich teatrów dramatycznych nie przekracza pięćdziesięciu tysięcy osób. Ale normalnie uczęszcza do tych teatrów około dwudziestu pięciu tysięcy osób. W bloku pięćdziesięciotysięcznym warszawskich widzów teatralnych są już i ci ludzie, którzy tylko wyjątkowo przypominają sobie o teatrze, których popycha do teatru raz na rok, najwyżej dwa razy na rok, szczególnie rozgłośna sława jakiegoś przedstawienia. Taką sławą w ostatnich latach cieszył się *Don Juan* Zorrilli, *Młody las* Jana Adolfa Hertza, *Noc sylwestrowa* Stefana Krzywoszewskiego, *Świt, dzień i noc* Niccodemiego, przed wojną *Małka Szwarcenkopf* Zapolskiej, *Madame Sans-Gene*. Sardou-żeby wskazać najjaskrawsze przykłady najogromniejszego tłoku przy kasie teatralnej. Sztuki różnych poziomów literackich. Ale zazwyczaj dużem powodzeniem sztuki teatralnej nazywa się oglądanie jej przez dwadzieścia pięć tysięcy osób. Następne dwadzieścia pięć tysięcy osób przychodzi do teatru najwyżej dwa razy na rok i, ściśle rzecz biorąc, nie jest to już publiczność teatralna, kochająca teatr, tęskniąca za teatrem, ale tylko publiczność wrażliwa wogóle na sensację. Jeżeli się tedy odliczy od maksymalnej cyfry widzów teatralnych te drugie, raczej przypadkowe, dwadzieścia pięć tysięcy widzów razdorocznych, i jeżeli się weźmie pod uwagę, że do teatrów warszawskich uczęszcza przecież wiele osób przejezdnych, to rachunek ten bynajmniej nie potwierdzi opinji, jaką ma Warszawa, nazywana miastem „teatralnem". Bo samych warszawian, stale chodzących do teatrów dramatycznych, niewiele jest więcej ponad piętnaście tysięcy. Jak na miasto miljonowe, troszeczkę za skromnie.

Cyfry te przytoczyłem dlatego, że zlikwidowany obecnie zatarg teatralny powiększył w stolicy ilość teatrów dramatycznych i rewjowych. Zamiast dwóch, dyrektor Szyfman będzie prowadził trzy teatry, adoptując teatr dzielnicowy przy ulicy Chłodnej. P. Jerzy Leszczyński organizuje podobno teatr-bombonierkę, kameralny, komedjowy. Pp. Majde i Boczkowski, wyparłszy się swych ukochanych dotąd trzech Budrysów: panów Tuwima, Hemara i Jarossego, zakładają w starej budzie *Qui pro quo* teatr ludowy ze śpiewami, gdy panowie Tuwin, Hemar i Jarossy przygotowują nowe qui pro quo, stawiając na nowem miejscu *Starą Budę*. Czy to mnożenie się teatrów i teatrzyków rozmnoży i publiczność teatralną, przyszłość najbliższa pokaże.

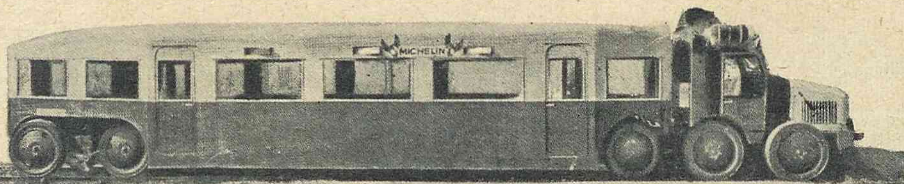


W teatrze przy ulicy Chłodnej byłem trzy dni temu na przedstawieniu *Roxy*. Przedstawienie odbywało się za głośno, jak zresztą za głośno odbywało się i przedtem, w teatrze Małym. Ale publiczność śmiała się z całego serca i waliła brawo z całej siły. Tak łatwej do porwania publiczności niema w śródmieściu. Ulica Chłodna, gdy wejdzie do teatru, robi się gorąca. Nie może być nic milszego dla artystów nad tę wybuchowość zadowolenia zgromadzonych widzów, nad te oklaski, doprawdy, inaczej brzmiące, niż w Teatrze Narodowym, czy w Teatrze Polskim. Czuje się, że gdyby nie rampa, kto wie, czy publiczność nie skoczyłaby na scenę, aby uściskać aktorów. Dobry teatr w ciągu trzech, czterech lat uczyniłby z tych entuzjastów sceny prawie znawców. Za trzy, cztery, lata jużby im się nieco mniej podobała gra tak hałaśliwa, jak obecna interpretacja *Roxy*, ale zamiłowanie do sztuki dramatycznej jeszczeby w nich wzrosło. A właśnie, czego najbardziej teraz brak teatrowi, to rozmiłowanej w nim publiczności. Jakże rzadko się trafiają ludzie, rozprawiający godzinami o szczegółach przedstawienia teatralnego, o subtelnościach gry aktorskiej! Owszem, często się słyszy gorącą wymianę zdań na temat kombinacji bridżowych i machania rakietą tenisową; ale o roli, interpretowanej znakomicie przez wybornego artystę, ale o postaci, stworzonej przez komedjopisarza, nie mówi się już z wypiekami na policzkach, jak to bywało przed wojną.

Teatr przy ulicy Chłodnej wskazuje na możliwość najszerszego odrodzenia tego przedwojennego zapału dla twórczości teatralnej. Nie wszystkie serca obecnego pokolenia podbiło pięściarstwo i kopniarstwo. W zboksowanem sercu młodzieży dzisiejszej jest jeszcze miejsce na miłość dla sztuki.

Czyżbym chciał przez to powiedzieć, że mnożenie się teatrów w Warszawie jest objawem pożądanym? Byłby to wniosek zapewne zbyt śmiały. Przecież, co do samego teatru przy ulicy Chłodnej... Ten teatr zdaje się rozporządzać specjalną, swoją własną publicznością. Czy tylko znajdzie się tej publiczności wystarczający zastęp?

W. Gr.



NA PROGU NOWEJ ERY KOLEJOWEJ

„MICHELIN" W DRODZE Z PALAISEAU DO CHARTRES

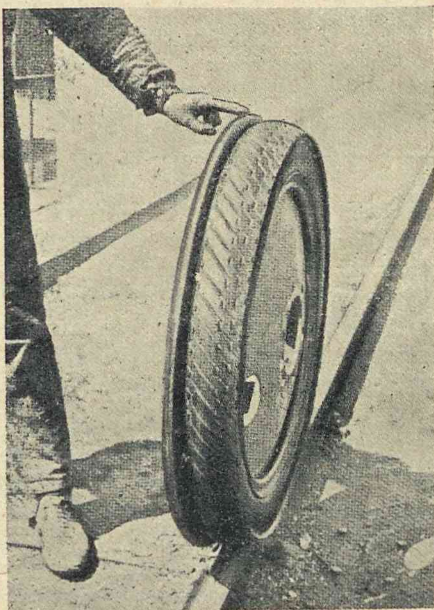
Pociąg z pneumatykami

Lokomotywa, ciągnąca po szynach ze znaczną szybkością szereg wagonów, porusza się naprzód tylko dzięki zasadzie przylegania. Ale cztery, sześć lub ośm kół parowozu styka się z szynami na przestrzeni zaledwie kilku centymetrów kwadratowych, więc geometrycznie przyleganie jest minimalne. Aby je spotęgować, zastosowano jedyny możliwy w tym wypadku środek, mianowicie zwiększono ciężar maszyny, dzięki czemu można było uzyskać większą szybkość ruchu, oraz zwiększyć również ciężar wagonów.

W ten sposób weszliśmy jednak poniekąd w błędne koło. Najlepiej objaśni to parę cyfr. Gdy w r. 1890 lokomotywa, prowadząca pociąg średniej wielkości z szybkością 60 km/godz., ważyła 65 tonn, obecnie lokomotywa najnowszego typu „Mountain", rozwijająca szybkość 120 km/godz., waży z tendrem 190 tonn. Musi on mieć przeszło 25 i pół mtr. długości i kosztuje z górą miljon franków. Podobnie wagony muszą być tem cięższe, im na większą szybkość są obliczone, gdyż tylko ciężar, zwiększający przyleganie, przeciwdziała wyskoczeniu kół z szyn. Tak więc w r. 1890 wagon trzeciej klasy, zawierający 50 miejsc, ważył 9 tonn, czyli martwy ciężar, przypadający na jednego pasażera, wynosił 180 kg. Dzisiaj wóz trzeciej klasy posiada 80 miejsc i waży 45 ton, czyli na pasażera przypada 560 kg. obciążenia. W ten sposób, aby podwoić szybkość musiano potroić ciężar.

Znalezienie sposobu wyjścia z tego błędnego koła zawdzięcza kolej swemu konkurentowi — samochodowi. Już przed 40 laty w r. 1891 pojawił się pierwszy rower z ruchomemi pneumatykami, w pięć lat później zaprodukował się z powodzeniem pierwszy pneumatyk samochodowy na wielkim wyścigu samochodowym z Paryża do Bordeaux i z powrotem. Natomiast aż do dzisiejszych czasów nikt nie wpadł na pomysł skutecznego zastosowania pneumatyków do parowozów i wagonów. Nie ciężar lokomotywy był tu przeszkodą, gdyż z powodzeniem stosowano pneumatyki do wielkich platform ciężarowych, gdzie na oś przypada ciężar 8 tonn. Główną trudność stanowi powierzchnia oparcia, równa szerokości szyny — 4 cm, gdyż pneumatyk, obliczony na ciężar 8 tonn, musiał mieć znaczne wymiary i dużą powierzchnię oparcia. Problem polegał na przystosowaniu pneumatyków o stosunkowo małym przekroju, ograniczonym przez 4-centymetrową szerokość główki szyny, licząc się równocześnie z ciężarem wagonów. Z drugiej strony trzeba było uwzględnić fatalny stan dróg żelaznych, gdzie różnica w wysokości szyn w punktach stycznych przekracza często 2 cm., a różnica w odległości między dwiema szynami równoległemi dochodzi do 3 cm. Te właśnie różnice są przyczyną wstrząsów bocznych i pionowych podczas jazdy pociągu.

Rozwiązanie problemu jest dziełem braci Michelin, właścicieli wielkiej wytwórni pneumatyków. Pokonali oni zwycięsko wszystkie nastręczające się trudności, a wynalazek ich przeszedł już chrzest praktyki na wielką skalę. Okazało się, że pneumatyk pokonywa z łatwością różnice wysokości szyn. Po trzechletnich próbach Michelin zdołał przezwyciężyć także wstrząsy boczne. Aby zaś wszelkie wstrząśnienia doprowadzić do minimum, zmniejszono przedewszystkiem ciężar pociągu. Miejsce lokomotywy zajął wóz motorowy o kształcie, ułatwiającym przecinanie powietrza, dzięki czemu oszczędza się paliwo i powiększa szybkość. Przyleganie kauczuku do stali jest trzykrotnie większe, niż stali do stali (współczynnik 0,6 zamiast 0,2). Podobnie jak koło żelazne pneumatyk jest przytrzymywany na szynie zapomocą bocznego występu. Na wypadek pęknięcia kiszki posiada zewnętrzne urządzenie, zapobiegające opadnięciu poniżej 1 cm., oraz sygnalizator, wskazujący na specjalnej tablicy, które koło jest uszkodzone i oznajmiający gwizdkiem o spadku ciśnienia w dętce. Zmiany koła dokonać można w ciągu 5 minut.



PNEUMATYK KOLEJOWY MICHELINA

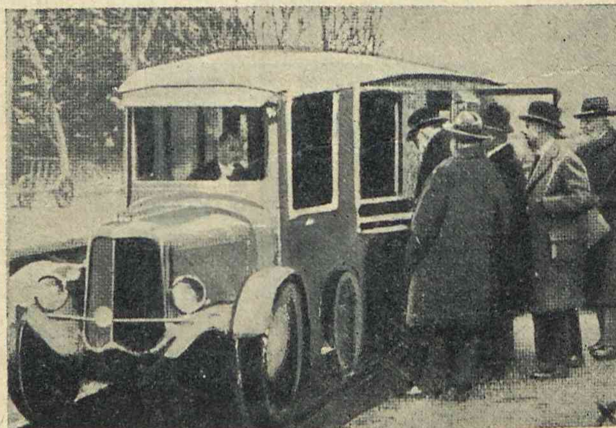
Przy rozpatrywaniu korzyści wynikających z tego wynalazku podkreślić trzeba przedewszystkiem zupełny brak wstrząsów i absolutną ciszę ruchu. Pasażer może bezpiecznie stać bez oparcia podczas najszybszego biegu pociągu, uszu jego nie rozdziera przeraźliwy szczęk kół o szyny. Z powodu zmniejszenia ciężaru zmniejsza się znacznie koszt wytworzenia wozu, który to koszt jest proporcjonalny do ciężaru. Spokojność ruchu zapewnia większą trwałość wozu. Różnica w ciężarze jest bardzo znaczna. Pociąg 3-wagonowy z furgonem waży 120 ton i posiada 108 miejsc, czyli na osobę przypada 1100 kg. martwej wagi. W „Michelin'ie" o 24 miejscach przypada na pasażera 175 klg., czyli 7 razy mniej.

Ogromną korzyścią jest także to, że wóz na gumach, doskonale przylegający do szyn, posiada, podobnie, jak samochód, zwiększoną zdolność przyspieszania i zwalniania. Podczas gdy pociąg zwykły dopiero po 1500 mtr. osiąga normalną szybkość 80 km/godz. — wagon na pneumatykach potrzebuje na to tylko 600 mtr. Pociąg zatrzymuje się na dystansie 1000 mtr. — wóz Michelina na 100 mtr. Wynika stąd ta nieoceniona korzyść, że wóz taki może kursować bez sygnałów i urządzeń ochronnych, obsługiwany tylko przez motorniczego, prócz tego można dzięki temu puszczać za sobą odrazu kilka wozów w parusetmetrowej odległości, zależnie od chwilowej potrzeby.

Dzień 23-ci lipca 1931 przejdzie do historji lokomocji jako data ostatecznego podboju pociągu przez pneumatyk. W dniu tym na linji Palaiseau — Chartres odbył się przejazd pociągu na pneumatykach.

Otóż eksperymet ten wykazał dowodnie, że stosowanie pneumatyków na drodze żelaznej powiększa znacznie szybkość i pewność jazdy i pod każdym względem przewyższa dotychczasowe metody. To też można przewidywać bez przesady, że doniosły wynalazek braci Michelinów spowoduje przewrót w dziedzinie lokomocji.

St. I.



NARODZINY POCIĄGU Z PNEUMATYKAMI. PIERWSZA PRÓBA A. MICHELINA (X)

wielki czarownik sceny



WIELKI CZAROWNIK SCENY W ROLI CZAROWNIKA W SZTUCE LENORMAND'A „A L'OMBRE DU MAL"

„Habib Benglia vous prie de lui faire l'honneur de visiter son TRAIN BLEU", — takie zaproszenie nie może przejść na Montparnasie bez wrażenia. Ewenementem jest tutaj otwarcie każdej nowej „boite". A cóż dopiero, kiedy jej gospodarzem jest Habib Benglia, jeden z największych aktorów Paryża, nieporównany murzyn, wielki mistrz sceny i ekranu.

Wąski, niebieski korytarz i schody wdół. Bar, sala w kształcie wagonu, przestronna, podługowata, światła przyćmione, murzyńska z nerwem orkiestra po przeciwległej od wejścia stronie. Kilka par kolorowych. Gwarno.

Siadamy przy jednym ze stolików w wycięciu wagonowego okna z dobrym widokiem na salę. Gospodarz zamawia koktajle. Jest możność przypatrzenia mu się teraz: głowa o czole wypukłem, wysuniętem z pod zwełnionej czerni włosów, oczy głębokie, żywe, pełne płomieni, nos po sudańsku spłaszczony szeroko, wciśnięty w twarz ciemną o lśnieniu bronzowem, usta grube, zmysłowe, wyraziste, naprzód podane, a z tem wszystkiem głos niski, dźwięczny, gorący, jakim Habib w rozmowie odważa okrągłe, nienagannie czyste w akcencie, zlekka archaizowane zdania; swobodny, wesoły, pełen spostrzeżeń dowcipnych, nie przekraczając jednak ani na chwilę ram dostojnej uprzejmości, w której, jak w stroju na uroczystość udrapowanym, robi honory domu.

Znam już całą historję jego karjery. Urodzony w Sudanie, inteligentny i zdolny niezwykle, na rozpoczęcie studjów wybrał się do Oranu, a stamtąd wkrótce wylądował w Paryżu. Tutaj w 1912 r. szczęście uśmiecha mu się poraz pierwszy w sławnej na owe czasy Café Riche. Zatrzymał się na nim wzrok wielkiej artystki, Régine Flory. Zauważyła go w tłumie.

Wkrótce debiut aktorski. I odtąd już coraz wyżej drogą tryumfu. Teatry rozbijają się o pozyskanie go na sezon, wielcy dramaturgowie sztuki dla niego piszą, wytwórnie filmowe licytują się w propozycjach, tłum bije oklaski, zachwyca się i wzrusza, a w nim — każdy dzień pogłębia wrodzoną miłość do sceny, jej zrozumienie i wyczucie, które takim podziwem napawa i aż ambarasuje dostojną krytykę europejskich stolic. Ambarasuje zwłaszcza to instynktowne rozumienie stylu, którego żywem świadectwem jest Habib Benglia. Mówi ono, że niczem jest podkład historyczno-kulturalny, środowisko wychowawcze i balast wpływów wobec daru uczucia i odczucia, dającego temu surowemu dziecku Afryki możność zakasowania magją kunsztu nieuczonego najlepszych gwiazd na firmamencie aktorskim Europy.

— Nikt o tem nie pamięta — mówi, nachylając się do mnie przez stół i w uśmiechu białych, drapieżnie pięknych zębów, — że my w Afryce mamy aktorstwo we krwi, że u nas od dziecka ten element stanowi część najważniejszą naszego życia społecznego i wewnętrznego. W nim się wypowiada religja, każdy odruch radości czy żalu, a wypowiada się żywiołowo, nieuczenie, pierwotnie, całą pełnią sił, całem sercem, bez żadnych hamulców, w wiecznie nowych, w coraz głębszych formach...

Przed naszemi oczami toczy się właśnie taniec jakiegoś czarnego dziewczęcia. Rytmy szybkie, rosnące rzucają lśniącem ciemnem jej ciałem, kwitną w niem i wybuchają silnym akcentem pożądania — wcieliła się w taniec ta myśl, rozwija się, póki nie osiągnie pełnego, doskonałego wyrazu, i póki w skupieniu wspaniałem nie zamknie się — całkowicie wypowiedziana.

Trąca mnie Habib Benglia.

— Widząc podobny występ, — ciągnie — można już rozumieć moją koncepcję żywiołowego aktorstwa. Bo proszę pamiętać, nikt tej dziewczyny nie uczył tańca, nikt nie pokazał, jak trzeba, a jak nie wolno. I to jest właśnie nieporównane, ten pierwszej próby surowiec, najszlachetniejszy diament, przy drobnem oszlifowaniu gotów błysnąć, zapalić blaskiem wszystkie serca i zgasić wszystkie niemal gwiazdy naokoło. O tem w teatrach nie wiedzą, a może nie chcą wiedzieć? — dodaje z krótkim, porozumiewawczym uśmiechem.

Po chwili milczenia mówi z płomieniem w oczach.

— Nauczyłem się kochać i rozumieć teatr u starych Greków. Odkryłem wiele wspólnego między nimi a negrami. Bez żartów! Nic bardziej murzyńskiego, jak Arystofanes. Bo, widzi pan, murzyn jest w założeniu swojem humorystą. Z tem samem nastawieniem, jakie znajduję u Greków. Gdyby nie byli zostawili po sobie pomników literatury, murzyni jedni chyba mogliby tę lukę do pewnego stopnia wypełnić.

— A Szekspir?

Benglia mało się z miejsca nie zerwał.

— To jest mój człowiek. O tak, jestem nim przesycony aż potąd — obie ręce położył sobie na głowie. — Mam teraz grać Otella. Bałem się zawsze tej roli, teraz ją już czuję, już wiem, już posiadam. Szekspir... — powtarza, mrużąc oczy, nieomal lubieżnie, jakby się grążył w świecie ogromnego używania.

Naokoło nas coraz więcej osób. Zapełnia się dancing pod północ. Dziewczęta z Martyniki w barwnych kostjumach odśpiewały już swoje piosenki, charakterystyczne i stylowe w zniekształconej francuszczyźnie XVIII w. Rozsiadły się w kolorowych spódnicach i z kokardami na głowie między publicznością. Znowu się tańczy.

— A dzisiaj robi pan „Train Bleu" — przerywam zamyślenie Habiba, którego ciągle zresztą odrywają od rozmowy bieżącemi sprawami gospodarczemi.

— Kaprys poprostu. Chciałem móc przyjmować u siebie przyjaciół. Trochę wolnego czasu i wolnej gotówki, oto wszystko. I duża satysfakcja. Pozatem pracuję dla filmu. Mam ich już kilka za

sobą. Następny, właśnie skończony, to „Dinah". A potem, jesienią znowu praca prawdziwa i prawdziwe szczęście. W teatrze Montparnasse pójdzie „Maya" z moją najlepszą rolą: barmana Hindusa. Tymczasem zaczniemy próbować „Otella", który jeszcze w jesiennym sezonie powinien pójść. Czuję, że to będzie moja największa kreacja, choć trudno zapewne i niebezpiecznie tak twierdzić, jeśli się pamięta, jak niezrównanie ujął ją Paul Robeson, murzyn i aktor teatrów angielskich. Czekam na ten występ z niecierpliwością, z zachwytem...

Przerwał Habibowi ktoś z personelu dyskretnem przypomnieniem, że już czas na niego. Przeprasza, musi uciekać, musi się przebrać. Będzie tańczył. Uraczy gości swoich wszystkiem, co ma najlepszego. Ten i ów pamięta go jeszcze, tancerza niezrównanego z Folies Bergères, gdzie przez blisko dwa lata występował.

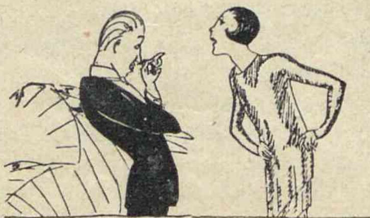
Za chwilę reflektor na środek sali. Któżby poznał w tem półnagiem, ciemnem ciele atlety w przybraniu sudańskiego krajowca czy czarownika, z maską upiora i w obręczach z pnączy, uśmiechniętego uprzejmie Benglię z przed kilku minut? Muzyka wybucha zawodzącym, ciętym zawiłą kaskadą akcentów śpiewem. Wybiega murzyńskie dziewczę, razem odtańczą miłosny taniec krajowców. Każdym mięśniem bosych nóg, bijących nieprzerwanym łoskotem w posadzkę, i napięciem nieruchomo wzniesionych nad głowę rąk i lśnieniem oczu z poza grymasu totemowej maski przykuwa, wzrusza, przenika. Cóż za ogromna kreacja w tym drobnym fragmencie obrzędu, przeniesionego niespodzianem zdarzeniem niespodzianem, a prawdziwem i wiernem aż tutaj, aby się oddać niby klejnot największej sztuki ciekawemu i zawsze głodnemu wrażeń Paryżowi.

Wirują w światłach skupionych te dwa ciała bronzowe i piękne, lśniące i nagie — spełnia się w sercu Europy misterjum środkowo-afrykańskiej dziczy, porywające wyrazem, dynamiką, treścią i bijące wstrząsem potężnym, dreszczem wzruszenia nad miarę w zblazowany i trudny tłum widzów, zaskoczonych nagłem objawieniem.

Za chwilę przy moim stoliku siądzie znów w smokingu, po europejsku czarownik wspaniały i wielki, straszny i uśmiechnięty uprzejmie, wódz jakichś plemion afrykańskich, wcielenie ciemnych sił, — a tutaj aktor i władca każdego tłumu, każdego serca, Habib Benglia...

Aleksander Janta-Połczyński

Paryż.



Z WYKŁADÓW O ŻYCIU

O SŁUCHANIU I MILCZENIU

Słuchanie dzielimy na dwie grupy: słuchanie ze względu na treść, oraz słuchanie ze względu na osobę mówiącego.

Słuchanie ze względu na treść jest sposobem kształcenia się. Oczywiście należy słuchać tylko takich rzeczy, których reprodukowanie się opłaca. Należy pamiętać o tem, że słuchanie ze względu na treść, to przygotowywanie się do roli pośrednika w rozpowszechnianiu potrzebnych nam wiadomości. Stąd należy dobrze pamiętać, co słyszeliście w jednem środowisku, aby tylko w innem to powtórzyć. Szczęśliwy dobór kilku środowisk, nieposiadających ze sobą styczności, dobra pamięć i umiejętne pośrednictwo w wymianie myśli, to podstawy rozgłosu o bystrości i inteligencji.

Nie mniej ważne jest słuchanie ze względu na osobę mówiącego. W tym wypadku narzędziem słuchu są oczy. Słuchać — to znaczy być w związku z mówiącym. Związek ten wyraża się przedewszystkiem spojrzeniem. Dlatego to obrócenie się plecami do mówiącego jest impertynencją. Jest to zerwanie kontaktu z mówiącym.

Słuchanie ze względu na osobę mówiącego nie jest tylko czczą demonstracją. Jakkolwiek oko jest najważniejszem ogniwem, a ucho odgrywa mniejszą rolę, niemniej jednak słuchanie to wymaga dużego wysiłku. Istota tego wysiłku polega na zrozumieniu, do czego mówiący przywiązuje największą wagę. Im jest głupszy, im bardziej bezmyślne frazesy wygłasza, tem większy jest ten wysiłek. Polega on przedewszystkiem na obserwacji. Z chwilą, kiedy obserwacja wasza była trafną, kiedy dopomożecie mówcy do zrozumienia komunałów wygłaszanych i potraficie wspólnie z nim doszukiwać się w nich głębi — na drodze waszej życiowej karjery poszliście o jeden krok naprzód.

Przyznać należy, że pod tym względem większość ludzi ma zdrowy instynkt.

„Nie trzeba życia traktować lekkomyślnie. Jest ono ciemnym labiryntem, przez który przejść można jedynie, idąc za przewodnią nitką wielkich ideałów".

Gdyby to zdanie wygłosił wasz przyjaciel z kawiarni, uważalibyście to za wstęp do jakiegoś kawału. Gdyby je wygłosił człowiek obojętny wam, nie zauważylibyście tego. Inaczej zachowacie się, gdy wygłasza je człowiek wybitny. Mimowoli szukacie głębi, a miljony sond tej głębi szukające wybijają wkońcu dziurę w mieliźnie. Nawet wtedy, gdy nie słyszeliście tego zdania bezpośrednio, lecz pośrednio, zwycięża was sugestją czyjegoś przekonania o swej nieprzeciętności. Nie mogąc inaczej wykorzystać swych talentów, wykorzystujecie je pośrednio, podporządkowując się sugestji.

Są to odruchy.

Zasadniczo każdą rozmowę chcemy szybko skończyć. Długie rozmowy polegają na sporze o ostatnie słowo. Im wytworniejszą jest forma tego sporu, tem milszą rozmowa. Prawo do ostatniego słowa rozmowy jest określone hierarchją rozmawiających. O tem należy pamiętać przed rozpoczęciem rozmowy. Jeżeli nie umiecie opanować przekonania o swej wyższości, jeżeli przykrość sprawia wam fakt, że umiejąc wiele musicie zamilknąć — nie zaczynajcie rozmowy.

Umieć milczeć to wielka sztuka.

Milczenie to zagadka. Otoczenie wasze zacznie się domyślać, że „coś w tem jest", że macie dużo do powiedzenia. Istnieje złudzenie, że myśl chętnie kryje się za milczeniem, a gardzi gadulstwem. Wykorzystując to złudzenie, mnóstwo ludzi zrobiło życiową karjerę. Skręcili kark wtedy, gdy przemówili.

W milczeniu jest powaga. Nawet uśmiech przy niem nie oznacza dobrego humoru, lecz jest symbolem krytyki i wyższości.

W milczeniu jest siła. Siła panowania nad namiętnością gadulstwa niewątpliwie i pozatem ta wyższa siła człowieka, który czemś umie się wśród innych wyróżnić.

Nic dziwnego, że milczenie budzi zaufanie. Nie podchodzi się z bylejaką propozycją do ludzi, okrywających się płaszczem siły i cylindrem powagi.

Oczywiście milczenie narzuca jeszcze inne formy zachowania się, jak krok powolny, ubiór spokojny, lecz do tego tematu jeszcze powrócimy. Tymczasem polecamy wam milczenie, jako jeden z najłatwiejszych sposobów osiągnięcia wybitnego stanowiska, a nawet wytworzenia dokoła siebie... legendy.

T. Garczyński.

Dzielny i szybki!

Ford dotrzymuje kroku na długich dystansach najlepszym samochodom. Nie wymaga jednak takich kosztownych starań jak one, a jest zawsze gotowy wyruszyć z nimi następnego dnia na etap. Prosimy zapytać się tych, którzy spotykają samochody Ford... lub których Fordy prześcigają, a odpowiedzą, że ich następny samochód będzie Fordem.

LINCOLN



FORDSON

SAMOLOTY

FORD MOTOR COMPANY

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. p. dr. Adolf Henryk Kellerman zmarł d. 15 września r. b. Urodzony w Warszawie w 1872 r. po ukończeniu nauk średnich wstąpił do zakładu dentystycznego Henryka Martin'a. W 1891 r. wyjechał do Francji w celu odbycia kursów uzupełniających i tam wstąpił do kliniki „Ecole Dentaire de Paris" — odbywając jednocześnie praktykę zawodową pod kierunkiem prof. Rannet'a.



Ś. P. ADOLF HENRYK KELLERMAN

Po powrocie z zagranicy w 1907 r. udał się do Charkowa dla złożenia ostatecznych egzaminów i uzyskania dyplomu państwowego. Osiadłszy w Warszawie otworzył własny zakład dentystyczny; niezależnie od tego prowadził wykłady w szkole dentystycznej Szymańskiego.

Ś. p. dr. Kellerman nie zasklepiał się w ramach swej pracy zawodowej, stanowiącej za szczupły teren dla jego bogatej natury, lecz z całem poświęceniem oddawał się akcji społecznej, przyjmując czynny udział w życiu różnych instytucyj. Działając na tej niwie piastował godność vice-prezesa stowarzyszenia lekarzy-dentystów Rzeczypospolitej Polskiej, przyjmował wybitny udział w życiu Towarzystwa Wioślarskiego, Czerwonego Krzyża, teatrów miejskich, zdradzając szczególniej żywe zainteresowanie instytucjami „Alliance française" oraz „Société franco-polonaise". We wszystkich pomienionych organizacjach po za wytężoną pracą, związaną z ich zadaniami, udzielał członkom pomocy lekarskiej zupełnie bezinteresownie.

Zmarły wyróżniał się wysoką kulturą, zamiłowaniem swego zawodu, dążąc do wprowadzenia udoskonaleń oraz rozwoju tego pola pracy.

Nieoczekiwany i przedwczesny zgon tak zasłużonego obywatela kraju odczuły szerokie koła naszego miasta a szczególniej tutejsza kolonja francuska, wśród której zmarły cieszył się wielkiem uznaniem i szczerą sympatją.

Cześć jego pamięci.

GUSTAW ZMIGRYDER

Dn. 19 b. m. zmarł w Warszawie po długiej chorobie właściciel znanej firmy modniarskiej, Gustaw Zmigryder.

Zmarły należał do popularnych postaci w sferach artystyczno - literackich, wśród których stale przebywał. To go skłoniło do wydawania w 1923 — 24 roku wytwornego czasopisma p. n. „Pani".



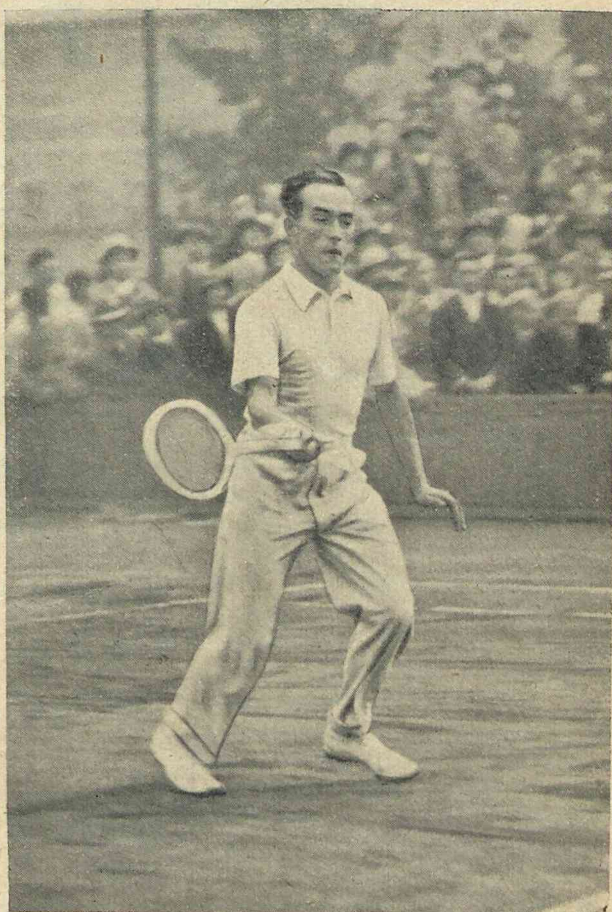
GUSTAW ZMIGRYDER

Uczynnością i prawością charakteru zjednał sobie serdeczną przyjaźń u ludzi, to też zgon jego wywołał szczery żal wśród licznych przyjaciół. Pozostawił żonę, która mu wiernie towarzyszyła we wszystkich przedsięwzięciach.

DWIE SENSACJE SPORTOWE W WARSZAWIE



Rekordzista - szybkobiegacz, finlandczyk Paavo Nurmi, na dystansie 5 km. pokonał znakomitego polskiego biegacza Janusza Kusocińskiego o niespełna 1/2 metra i 0,2 sekundy. Świetny to dla nas rezultat, stawiający Kusocińskiego w rzędzie mistrzów świata Fot. Jan Ryś



Wszechświatowej sławy tenisista francuski Henry Cochet rozegrał mecz z Maksem Stolarowem, zwyciężając go po 2 i pół - godzinnej walce tylko dzięki omyłce wzrokowej sędziego. Była to najpiękniejsza gra, jaką kiedykolwiek widziała Warszawa Fot. Jan Ryś

ze świata



Most pontonowy, zbudowany przez amerykańskiego inżyniera, wytrzymuje przejście najcięższego tanku.

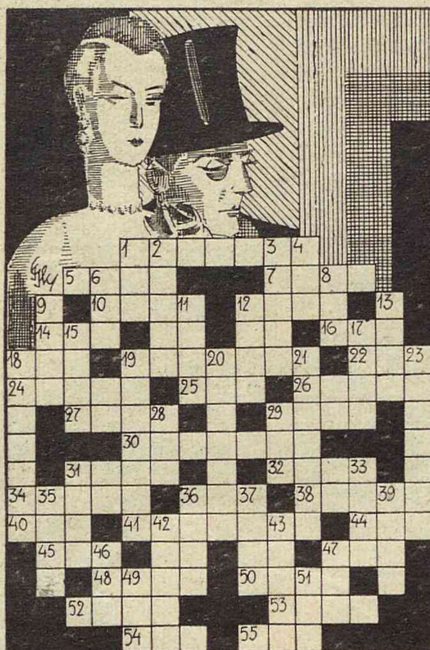
Grecja ma także swoich faszystów, chętnie urządzających manifestację. Więcej na nich sztandarów, jak uczestników.

№ 82. KRZYŻÓWKA

(Za rozwiązanie 4 punkty).

Znaczenie wyrazów poziomych: 1. Pseudonim autora dramatycznego polskiego; 5. Samochód ciężarowy z przyczepką; 7. Kamień drogocenny; 10. Imię żeńskie; 12. Postać legendarna z dziejów Polski; 14. Pierwiastek chemiczny; 16. Pierwiastek chemiczny; 18 Znany komik filmowy; 19. Bohater staroniemieckiego eposu rycerskiego; 22. Przysłówek francuski; 24. Monety storopolskie; 25. Skwar; 26. Znany teatr paryski; 27. Znany środek przeciw insektom; 29. Imię męskie; 30. Środek leczniczy; 31. Duża sala; 32. Zastaw (wspak); 34. Poeta włoski; 36. Prezydent Krakowa w czasie wojny światowej (wspak); 38. Roślina pastewna (wspak); 40. Piwo angielskie; 41. Część futryny; (wspak); 44. Autor popularnych powieści awanturniczo-podróżniczych; 45. Zaimek (wspak); 47. Rzeka w Polsce; 48. Gatunek śledzia; 50. Wulkan we Włoszech; 52. Rzeka w Europie; 53. Skorupiaki rzeczne; 54. Naczelnik obszaru administracyjnego na Węgrzech; 55. Płaz.

Znaczenie wyrazów pionowych: 1. Ptak; 2. Artysta sceniczny; 3. Miejscowość słynna bitwą z Turkami; 4. Urzędnik turecki; 8. Miara powierzchni; 9. Stworzenie morskie; 11. Miasto rodzinne św. Franciszka Serafickiego; 12. „Cztery" w języku obcym, fonet.; 13. Nazwisko wybitnego polityka amerykańskiego; 15. Najmniejsza cząsteczka organiczna; 17. Zakończenie modlitwy; 18. Uczucie; 19. Imię męskie; 20. Imię żeńskie; 21. Świątynia rzymska (wspak); 23. owady; 28. Spływający lód; 29. Unoszenie się w powietrzu; 31. Nazwisko pisarza francuskiego; 33. Wieść, pogłoska; 35. Imię gwiazdy filmowej (wspak); 36. Naodwrót; 37. Tytuł angielski (wspak); 39. Skaleczenie; 42. Najbardziej wartościowa część społeczeństwa; 43. „Gwiazda" w języku obcym; 46. Kogut; 47. Torba; 49. Przyimek; 51. Przyimek.



№ 83. KONIKÓWKA

(Za rozwiązanie 3 punkty)

	bar	cej	sprag	mo	jest	
jej	nio	jesz	dziej	u	steś	nie
tem	wię	na	ne	jak	rze	ka
	pi	ny	im	je	zmier	

Posuwając się ruchem konia szachowego, odczytać złotą myśl Żeromskiego

№ 84. PRZESTAWIANKA

(Za rozwiązanie 3 punkty).

Z każdej pary podanych wyrazów utworzyć, przez odpowiednie przestawienie liter, nowy wyraz.

KARETA + KRES =
KALIKST + CENA =
DANSER + ELKA =
ARAB + BANK =
BALON + CERA =
ASTRRA + LEP =
IMATRA + PLON =
NEWA + LOK =
ALAN + MISA =

ROZWIĄZANIE ZADAŃ z № 35-go

Nr. 72. MAGICZNA GWIAZDA: Bazyli, Patryk, Zapasy, Boraks, Sankta, Kanapa, Parana, Nansuk, A. Rodin, Uskoki, Romana, Grandi, Mazepa.

Nr. 73. ZADANIE KWIATOWE: Amazonka, Toskanja, Renesans, Astronom, Minister, Elżbieta, Napoleon, Telimena—*Atrament.*

Nr. 74. UKŁADANKA WYRAZOWA: Jędrzej, Impreza, Kwartał, Szaruga, Zagroda, Kubraki, Czartak, Szarady, Dąbrowa.

Trafne rozwiązanie zadań nadesłali: pp. Berkmanowa Wacława (6), Boguszewska Helena (6), Bojarski Tadeusz (9), Cacek Mieczysław (9), Charytonowicz Anna (9), Czerwińska Jadwiga (9), Herbstmanówna Dorota (9), Jarkowska Aurelja (9), Kozłowski Czesław (9), „Peka" (9), mgr. Rostafiński Marjan (6), Roykiewicz Wacław (9), Sławnicki Michał (6), Sułkowska Leontyna (9), Tietz Zygmunt (9), Wiśniewska Teofila (6), Zagajewski Adam (6), Zborowska Teresa (9), Żukowska Irena (6) — *z Warszawy*, oraz

pp. Adamska Marja (9) — z Tomaszowa Mazowieckiego, Bagińska Helena (6)—ze Strzemieszyc, Bugajewska Marja (6) — z Kłobucka, Denasiewicz Kazimierz (9) — z Drohobycza, Feldman Marjan (6) — ze Strzemieszyc, Jakubowska Lili (6)—z Baranowizny, Janicka Zofja (6)— z Grudziądza, Jasiński Wacław (9) — z Horochowa, Jurkiewicz Eugenjusz (9) — z Wilna, Kamiński Władysław (6)—z Sochaczewa, Kancler Wiesław (6)—z Piotrkowa, Kiersnowski Józef (9) — z Baranowicz, Kordysz Franciszek (6) — z Wilejki, Kotowska Emilja (9) — z Poznania, Krauze Józef (9) — z Żyrardowa, Ludwicki Henryk (9) — z Zagożdżona, Maliszewski Kazimierz (9) — ze Strzemieszyc, inż. Modrzejewski Józef (9) z Lublina, Mokrzycka Helena (9) — z Drohobycza, Petrych Jan (9) — z Wronek, Przyłubska Ewa (3) — ze Szwejk, Rakowiecka Helena (9) — z Lublina, Ruszkowski Henryk (9) — z Krasnegostawu, Rzewicka Irena (9) — z Będzina, Skupińska Marta (9) — z Zamościa, Sułocka Janina (9) — ze Zgierza, Ślaska Bogumiła (6) — z Cińślic, Tobias Henryk (9) — z Kielc, Tyblewski Wacław (6) z Poznania, Węgierski Tadeusz (9) — z Miłosnej, Zakrzewski Leon (9) — z Radomia, Zawadzka Anna (6) — z Ciechanowa, Życzyński Bohdan (9) — z Nowogródka.

NAGRODY KSIĄŻKOWE za trafne rozwiązanie poszczególnych zadań wylosowano dla

p. Heleny Boguszewskiej z Warszawy— G. Zapolskiej „Policmajster Tagiejew".

p. Zofji Janickiej z Grudziądza — A. Mickiewicza „Pisma",

p. Ireny Rzewieckiej z Poznania — J. Meissnera „Licznik z czerwoną strzałką".

W następnym numerze ogłoszone zostaną ostatnie zadania III-go Konkursu Kwartalnego.

Rozrywki umysłowe „ŚWIATA".

dostępne dla wszystkich Czytelników, mają podwójny charakter: 1) współzawodnictwa przy rozwiązywaniu poszczególnych zadań i 2) turnieju wytrwałości.

Za trafne rozwiązanie każdego zadania zalicza się odpowiednią ilość punktów i rozlosowuje jedną nagrodę.

Zdobywcy największej liczby punktów w ciągu kwartału otrzymują pięć wartościowych nagród, nadto wśród Czytelników, którzy nadeślą trafne rozwiązania przynajmniej jednego zadania z każdego numeru w ciągu kwartału, rozlosowuje się pięć nagród pocieszenia.

Ogółem redakcja „Świata" przeznaczyła w bieżącym kwartale około pięćdziesięciu wartościowych nagród.

Rozwiązania nadsyłać należy w terminie 10-cio dniowym od daty każdego zeszytu pod adresem: Redakcja tygod. „Świat" Warszawa, Szpitalna 12, Dział Rozrywek Umysłowych.

Przed i po — premjerach kinowych

Ledwo tydzień upłynął od zapowiedzi, że na ekranie „Atlanticu" ukaże się film osnuty na tle głośnego wydarzenia z 1905 roku, a już zajaśniały światła reklam i zaczęły ciągnąć tłumy publiczności do kinoteatru, gdzie jaskrawy afisz oznajmił, że „Dziesięciu z Pawiaka" w tryumfie wkroczyło na zeroekran.

Premjera tego filmu odbyła się w bardzo uroczystym nastroju w obecności Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i najwybitniejszych dygnitarzy. Film przyjęto owacyjnie, a zaciekawienie jest tak wielkie, że trudno o bilety. Są rozchwytywane.

„Dziesięciu z Pawiaka" zawdzięcza ten sukces niewątpliwie przedewszystkiem tematowi. Już jako sztuka sceniczna — w teatrze miał on nielada powodzenie, mimo, iż wysnuty z tego już dziś do historji należącego faktu utwór był dość szkicowo i pobieżnie potraktowany, przez autora, któremu zresztą nie można było odmówić talentu. I na scenie i w filmie — bohaterskość niezwykła tego epizodu, szalona odwaga i zimna krew biorących udział w tej imprezie, przypominającej Kmicicowe wyczyny — olśniewają i wprowadzają w zdumienie, budzą podziw. Film potrafił i mógł plastyczniej przedstawić dzieje tych kilku godzin niż teatr. To też sukces jest wielokrotnie zwiększony.

Nie znaczy to jednak, aby nie było tu zasługi wytwórni Blok-Film i jej kierowników. Najlepszy temat przestaje czasem interesować, gdy jest źle opracowany. Trzeba przyznać, iż położono tu wielki nacisk i na grę i na zdjęcia i na synchronizację, że pracowano z zapałem i ze zrozumieniem istoty kina. Batycka, Lubieńska, Węgrzyn, Samborski, Brodzisz — oto główne figury filmu, a raczej głównych figur odtwórcy.

Nasuwa się tu refleksja. Cenzura filmowa czyni obecnie wstręty, gdy ktoś zamierza realizować obraz z dziejów moskiewczonej Kongresówki. Dość, mówią, żandarmów, ochrany, szpiegów, sołdatów, „okołotocznych" i t. p. Życie jednak mówi co innego. W czasie obecnego kryzysu tylko filmy tego typu, oparte na tematach z dziejów naszej dzielnicy, wyjątkowe odnoszą sukcesy („Uroda życia", „Sybir", „10 z Pawiaka"). I nic dziwnego: młodzież dzisiejsza, całe pokolenie ludzi starszych, wychowanych w zaborach austrjackim i pruskim z ogromnem zainteresowaniem ogląda te kawałki historji wielkiej połaci dziejowej Polski, tej połaci, którą knut moskiewski cywilizował. Tak samo, my „z Kongresówy" oglądalibyśmy prawdopodobnie z bijącem sercem dzieje Mierosławskiego, rok 1848, 1846 — na ekranie. Zjednoczeni po latach tylu pragniemy poznać wszyscy historję tych lat niewoli, a film daje nam ją poznać w sposób najprostszy i najpiękniejszy, najbardziej interesujący i barwny.

Tyle o „Dziesięciu z Pawiaka". Rozpoczął się od nich sezon „krajowych" filmów. Vivat sequens! Ale jeszcze niewiadomo, kto będzie z kolei drugim. Może „Legjon ulicy" Forda, może „Krwawy wschód" Nowiny Przybylskiego. Te są już niemal gotowe.

Natomiast dopiero „w robocie" jest przeróbka Marjana Szyjkowskiego powieści Elizy Orzeszkowej „Cham". Realizują film: kierownik produkcji Józef Rosen i Nowina-Przybylski, jako reżyser. W roli głównej kobiecej Krystyna Ankiewiczówna. Opracowania djalogów podjął się dyr. Emil Chaberski.

Te trzy filmy są już zarejestrowane. Czwartym będzie prawdopodobnie film Henryka Szary na tle r. 1914 i powstanie legjonów. Piątym — może nowy film wytwórni „Leofilm" — którego tytuł narazie zachowują realizatorowie w tajemnicy. Szósty to „Dzikie pola" Orlicza i Leitesa. Na tem, zdaje się, produkcja tegoroczna się skończy. Chyba, że sytuacja ogólna się zmieni. Że będzie weselej.

Jeżeli jednak ktoś pragnie, aby mu już teraz było wesoło — dam mu dobrą radę: niech idzie do kina „Palace" na przemiły i doskonały film z Menjou, a potem do „Majesticu" na „Króla bulwarów". Kupa śmiechu!

Tadeusz Kończyc.

CO CZYTAĆ?

„NAD CZARNĄ WODĄ", „STRAŻNICA", „LUDZIE PRZESTWORZA".

Janusz Korczak utrwalił w naszej literaturze specjalny typ narracji. Jest to nawpół pedagogika, uskrzydlona wrażliwą uczuciowością autora. W jego ślady poszła p. Halina Górska, ogłaszając swoją opowieść pt. „Nad czarną wodą". Jest to „książka zagadnień, które budzą się we wczesnej młodości", jak mówi autorka. Nas jednak interesują nie zagadnienia, lecz możliwości pisarskie p. Haliny Górskiej.

„Nad czarną wodą" jest zbiorem obrazków rodzajowych. Schronisko dla dzieci i młodzieży z Powiśla dostarczyło autorce miłych, przepojonych uczuciem obserwacji. Spostrzeżenia te nanizała p. Halina Górska na szlachetną nić humanitaryzmu. Wzruszają one jednak nietyle treścią, co uczuciowością. Czytelnik o społecznych instynktach książkę tę zachowa w dobrej pamięci. Mając tego typu wychowawców, co studentka Krysia, możemy z ufnością spoglądać w przyszłość. Jej arcyludzki stosunek do dzieci ulicy, jej umiłowanie, a właściwie misjonarstwo, napawa głęboką radością. Studentka Krysia — to „siłaczka" naszych czasów. Zabawy jej z dziećmi Powiśla możnaby postawić za przykład! W środowisko nędzy i głodu wnosi ona jasne światło kultury o najszlachetniejszej tendencji.

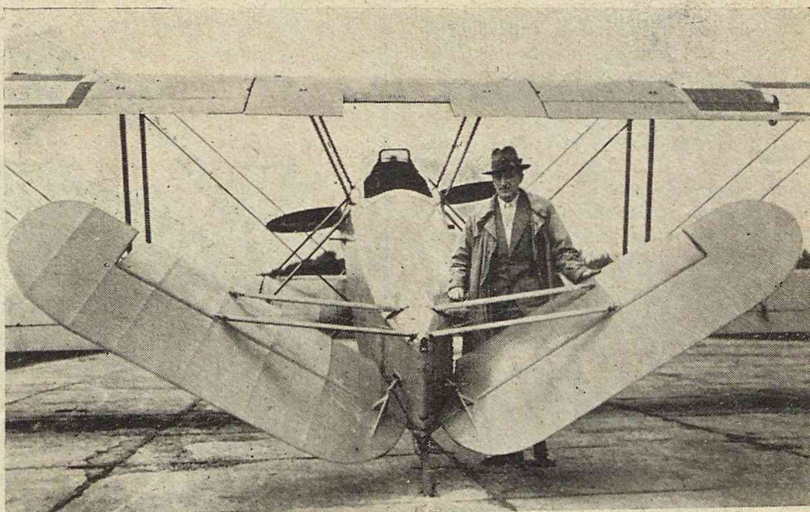
Młodzież współczesną pokazuje nam też p. Stefan Łoś. Jego powieść pt. „Strażnica" sięga do życia obozowo-harcerskiego. Nie są to jednak żadne figle. Autor harcerzom daje wielką rolę, niemal militarną. Jego skauci pojechali na Kresy wschodnie Rzeczypospolitej obozować. Bieg wydarzeń sprawił, iż musieli wziąć udział w walce z dywersantami. Uczynili to wspaniale. Wytropili nieprzyjaciela, ogniem karabinowem zatrzymali go za groblą, dali możność wojsku ujęcia niebezpiecznych, granicznych bandytów. Inaczej przecież nie można nazwać wszystkich tych bolszewików oraz ich konfidentów. Harcerze p. Stefana Łosia indywidualnie są dosyć niezróżnicowani. W zespole stanowią siłę. Typy bolszewików (felietonowo-propagandowe) budzą łatwy odruch odrazy. Najmocniejsze literacko są stronice z opisem „bitwy dywersyjnej"! „Strażnicę" p. Stefana Łosia winna czytać młodzież szkolna, harcerze.

Nietylko młodzież zaciekawi interesująca książka p. Romana Umiastowskiego pt. „Ludzie przestworza". Skrzętnie zebrał on w pokaźny tom wszystkie charakterystyczne a wzruszające opowiadania o pilotach-wojskowych. Jest to więc, jakgdyby, historja wielkiej wojny w przestworzach powietrznych. Z objektywizmem i lojalnością mamy tu podane zwierzenia i opisy bohaterskich wyczynów lotniczych, tak asów francuskich, angielskich, włoskich, jak i niemieckich, austrjackich. Zadziwia postać lotnika René Foncka! Narażając się codzień wielokrotnie w walce z eskadrami niemieckiemi, wyszedł z zapasów bez szwanku. Teraz jest posłem w parlamencie francuskim.

„Ludzie przestworza" są niezwykłą lekturą! Przenoszą nas w krainę bajki, choć mówi o nich zwykła proza i w dodatku pomieszana z krwią.

E. C.

NOWY WYNALAZEK STERÓW SAMOLOTOWYCH



Na lotnisku Mokotowskiem demonstrowany był nowy wynalazek sterów samolotowych, skonstruowanych w lubelskiej fabryce samolotów Plage i Laśkiewicz. Wynalazek ten polega na tem, że dotychczasowe trzy stery, dwa poziome i jeden pionowy zastąpione zostały dwoma sterami, ustawionemi pod kątem 35 stopni do horyzontu. Wynalazek ten pozwala na większą zwrotność samolotu oraz wymijanie ew. przeszkód przy lądowaniu w chwili znajdowania się samolotu na ziemi. Na zdjęciu samolot z zastosowaniem nowych sterów.

HUMOR

— Lekarz zabronił pić mi alkohol... skarży się pan Jakób...
— Ani kropelki?... dziwi się pan Franciszek, znany antyalkoholik.
— Ani kropelki! Przeciwnie, za mnie nie ręczy...
— Jesteś i tak szczęśliwy! Wypiłeś ty w życiu dosyć!

CENY OGŁOSZEŃ

Okładka I tyt. Zł. 700.—
„ II „ 600.—, ½ 300.—, ¼ 150.—, ⅛ 75.—
„ III „ 450.—, ½ 225.—, ¼ 112.50
„ IV „ 600.—, ½ 300.—
Przed powieścią. . . . Zł. 600.—, ½ 300.—, ¼ 150.—

Ogłoszenia w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej.
Kronika towarzyska za 1 mil. szerok. jednej szpalty 2 zł.
Dział Tam Kupujcie „ „ „ „ „ 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie.

Hurtownie „Świata": dla prowincji Tow. „Ruch", Sp. Akc. Warszawa, Al. Jerozolimska 63, telefon 670-87, dla Warszawy: "Czytajcie" Krak.-Przedm. 60 Tel. 210-00.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
Szpitalna 12. Tel. Administracji 504-00 i 501-51
KONTO CZEKOWE P. K. O. 8755
ORAZ WSZYSTKIE WIĘKSZE KSIĘGARNIE

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2, Księgarnia Ludwika Fiszera, ul. Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: ul. Gwarna 16. Centrala Gazet **L. Robowska. CENY PRENUMERATY: w Warszawie** odbiór na miejscu miesięcznie 6.— zł., z odnoszeniem do domu 6.50 zł., na prowincji miesięcz. 7.— zł., kwartalnie 21.— zł. Zagranicą miesięcznie 9.— zł.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI **1 zł. 40 gr.**

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski.*

Druk. Galewski i Dau, Warszawa

HUMOR

— Kelner, proszę o kurczę. Im będzie młodsze, tem będę więcej zadowolony...

— Może podam panu jajko na miękko?

*

Starsza dama w przepełnionym tramwaju zwraca się do chłopczyka, siedzącego na ławce:

— Czy nie mógłbyś wstać?

— Wolę nie, bo pani zajmie moje miejsce.

*

— Najdroższa ciotko, tylko twój prezent najbardziej mi się podobał...

— Lubisz tak grać na harmonijce...

— Nie, lecz ilekroć zacznę, ojciec daje mi złotówkę, bym przestał.

*

— Czy pan doktór uważa, że automobilizm jest pożytecznym sportem?

— Nawet bardzo. Przeciętnie mam o trzech pacjentów więcej tygodniowo.

*

— Czemu nie pracujesz?

— Czekam na inspirację...

— To chyba jeszcze długo będziesz czekać?

— Ach, nie, ona jest słowna. Przychodzi punktualnie o czwartej.

*

W szkole powszechnej nauczyciel polecił chłopcom, by napisali ćwiczenie na temat, który wszyscy doskonale znają! Nieraz przecież chodzili z wizytą do wuja. Tytuł ustalono: wizyta u wuja. Nauczyciel upomniał ich przytem, by pisali zwięźle. Mały Janek napisał w swoim kajecie:

„Poszedłem do wuja i nie zastałem go w domu!"

*

Voltaire przyszedł z pierwszą wizytą do pani Maintenon:

— Widział pan, podobno, w Berlinie tancerkę Barberina.

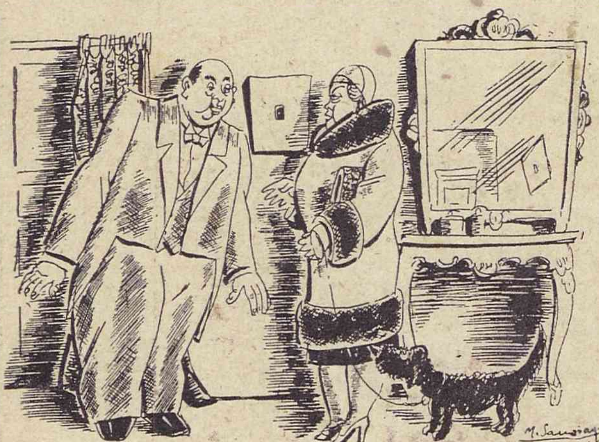
— I owszem.

— Czyż to prawda, że jest ona najpiękniejszą kobietą w Europie?

Voltaire spojrzał wymownie na królewską kochankę i powiedział:

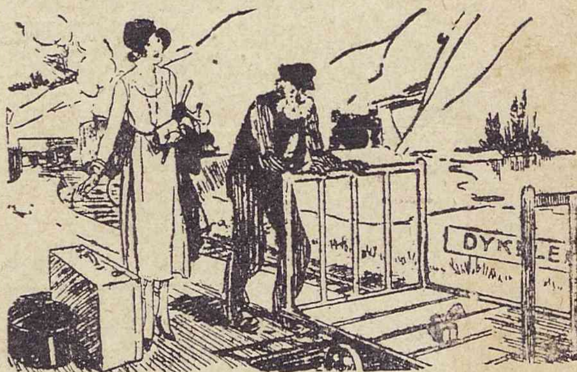
— Tak do dziś myślałem.

HUMOR ZAGRANICZNY



— Spóźniłam się, proszę mnie zaraz wprowadzić do salonu
— W tej chwili — to niemożliwe. Właśnie moja pani śpiewa i gdybym otworzył drzwi, połowa gości ulotniłaby się

(Le Rire)



NA STACYJCE

— Czy nie moglibyście zabrać moich rzeczy?
— Zaraz, zaraz, moja pani Tylko załatwię się z przesyłką pocztową. Piszą, że zawiele służby kolejowej, a tu nadążyć nie można

(Le Cancide)

— Czy też radjo doprowadzi do bankructwa dzienniki?
— Nigdy!
— A jednak...
— Co jednak? W radjo nie zawiniesz paczki!

*

— Balbisia ma ząbki, jak perły!...
— Z powodu takie białe ...
— Nie, takie rzadkie.

*

Pan Władysław Ludwik, dwóch imion, Pantofel jest przykładnym małżonkiem. Pensję oddaje żonie skrupulatnie co do grosza. Otrzymuje za to pięć złotych tygodniowo na kawiarnię. Pewnego poobiedzia wpada do domu rozradowany i woła:
— Lili, wygraliśmy na loterji 200 tysięcy złotych!
— Ach, tak? A skąd wziąłeś pieniądze na kupno losu...

*

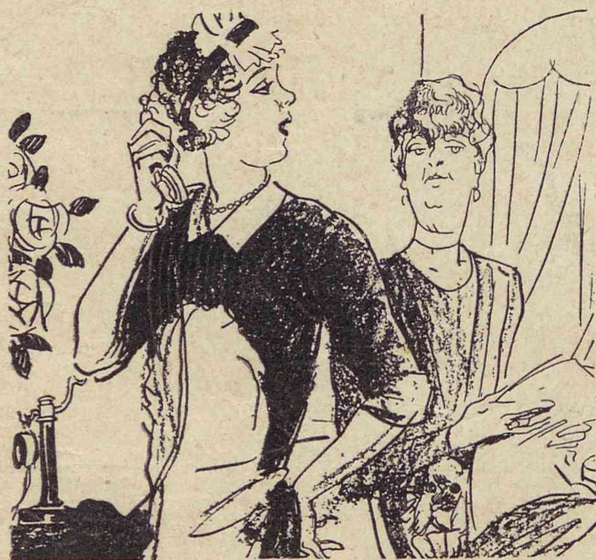
— Za co pana przymknęli?
— Jechałem za wolno...
— Niemożliwe. Mnie zaaresztowali, bo jechałem za prędko...
— Tak, ale samochód nie był mój.

*

— Panie szefie, proszę o trzy dni urlopu...
— Co się stało? Zatrważa mnie pan...
— Nic takiego, żenię się!
— Jakto znów? Przecież ubiegłego roku zwalniał się pan również w tym celu?
— Tak, ale teraz, niestety, naprawdę.

*

— Jak możesz bić tego chłopca? Czy nie mówili ci w szkole, że należy kochać nieprzyjaciół?...
— Tak, ale to nie jest nieprzyjaciel...
— Więc dlaczego go bijesz...
— To mój brat!



— To do mnie, ale pani może zostać, nie mam tajemnic.



— Ameryka zrzekła się długów europejskich na cały rok
— Wielkie rzeczy! Myśmy zrzekli się własnych swoich długów i to nazawsze

Druk. Galewski i Dau, Warszawa